81 LAT
CZWARTEK
UKAZUJE SIĘ OD 1945

5 marca 2026

NR 53 (18446)

Sport

STS PUCHAR POLSKI

Sadilek usadził Lecha!

Wydanie papierowe ISSN 0137-9305

Wydanie cyfrowe ISSN 3072-0575

Sport fae895e8fe

Z DRUGIEJ STRONY



Kacper Janoszka

Pieniądze to nie wszystko

Futbol bywa nieprzewidywalny, niepoliczalny. Nie da się go zmierzyć sumą wydanych pieniędzy. Nie ma gwarancji tego, że im więcej kasy inwestor właduje w klub, tym drużyna będzie grała lepiej. Nie ma reguły, a każdy przypadek jest inny. Pewne jest jedno – piłka nożna to dalej dyscyplina romantyczna, której towarzyszą ogromne emocje, bez których przecież bieganie 22 ludzi na boisku nie miałoby żadnego sensu. Chodzi przecież o łzy i śmiech, o huśtawkę emocjonalną, która wciąż utrzymuje kibiców przy tym, żeby spędzić dwie godziny na stadionie, gdy mecz wcale nie jest porywającym widowiskiem.

Spotkanie GKS-u Katowice z Widzewem nie było znakomite. Było wiele przypadku, strat, czasem widać było brak pomysłu na to, jak trafić do siatki. A mimo wszystko siedzieliśmy na trybunach lub przed telewizorami jak na szpilkach, wyczekując na to, który z zespołów zada nokautujący cios. Na to, która z ekip wytrwa w próbie nerwów i po serii rzutów karnych awansuje do półfinału Pucharu Polski.

Emocje udzielały się zresztą nie tylko tym, którzy obserwowali starcie z dystansu, ale także tym, którzy czynnie uczestniczyli w wydarzeniu. Widać to było po Mariuszu Fornalczyku, który z 11 metrów wybił piłkę w okolice górnych rzędów Areny Katowice. Widać to też było po jego reakcji, gdy stał przed kibicami Widzewa, a łzy płynęły mu po policzkach. Zauważalne to było także w wielkiej radości GieKSy. Gdy już nerwy puściły, zawodnicy ruszyli w euforycznym szale, żeby wyściskać bramkarza Rafała Strączka i rozpocząć świętowanie. To jest właśnie piłka nożna.

Piłka nożna to nie miliony wydane na Osmana Bukariego, Przemysława Wiśniewskiego, Emila Kornviga, Andiego Zeqiriego, Steve'a Kapuadiego i kilku innych piłkarzy, o których zamarzyli rządzący Widzewem ludzie. Jasne, niech liga się rozwija, ale pieniądz nigdy nie będzie w stanie zapewnić trzech punktów lub awansu do półfinału Pucharu Polski.

I nie chcę powiedzieć, że fundusze nie mają żadnego znaczenia, bo przecież bez nich GKS Katowice nie byłby w stanie walczyć w ekstraklasie. GieKSa jednak w porównaniu do Widzewa jest klubem skromnym, który ogląda każdą złotówkę z dwóch stron i mądrze wydaje pieniądze, wybierając na rynku zawodników, którzy po prostu są potrzebni. W Łodzi właściciel klubu Robert Dobrzycki pliki banknotów wyciąga z tylnej kieszeni spodni, kładzie na stół i mówi „poproszę zawodnika, obojętnie którego". Zatracono tam jakiekolwiek hamulce.

We wtorek w Katowicach na murawie pojawił się Carlos Isaac, Hiszpan, który prawie całą karierę spędził na drugim poziomie rozgrywkowym w swoim kraju. Widzew zapłacił za niego milion euro. Cordoba, która zyskała te pieniądze, zapewne do teraz śmieje się, że wcisnęła Widzewowi tego piłkarza i jeszcze na tym zarobiła. Ponad 3 miliony euro zapłacono za Przemysława Wiśniewskiego. Uważam, że nie jest wart tych pieniędzy. Mamy zbyt duże wyobrażenie na jego temat po tym, jak zaczął grać w reprezentacji Jana Urbana. Suche dane są jednak dla niego bezlitosne. To defensor, który zagrał w 14 meczach w Serie A i w 71 spotkaniach w Serie B. Czy gdyby nie był Polakiem, jego transfer do Widzewa wzbudziłby jakiekolwiek poruszenie? Zapewne byłby kompletnym anonimem. Pieniądze to nie wszystko, panie Dobrzycki.



Fot. PAP/Art Service

Rafał Strączek został bohaterem GieKSy.



Fot. PAP/Art Service

Moment euforii po serii rzutów karnych.

Ogromna duma

Zespół Rafała Góraka wytrzymał presję i zagra w półfinale Pucharu Polski.

GKS Katowice jest w półfinale Pucharu Polski. To zdanie, którym przez najbliższe dni będą żyli jego kibice. Droga do tego etapu nie była łatwa. Katowiczanie trzykrotnie mierzyli się z zespołami z ekstraklasy. Rozegrali tylko jeden mecz z rywalem z niższego szczebla rozgrywkowego – z pierwszoligowym ŁKS-em.

Mimo to byli niepowstrzymani i potwierdził to także miniony wtorek, gdy przy Nowej Bukowej zameldował się Widzew Łódź, zespół z ogromnym potencjałem i głodem zwycięstw. To drużyna, w którą zainwestowano dziesiątki milionów złotych, a i tak nie była w stanie poradzić sobie ze zmotywowanymi Katowiczanami! Jasne, Widzew grał lepiej, ale kto o tym będzie pamiętał po latach? Zapamiętany zostanie tylko rezultat – zwycięstwo gospodarzy po serii rzutów karnych.

GieKSa zagrała mądrze, wystarczająco dobrze, żeby awansować do kolejnej fazy. – Zbieramy owoce naszej pracy! Wszystko jest przed nami, a fakt, że zagramy w półfinale Pucharu Polski, napawa mnie ogromną dumą – powiedział po meczu trener GKS-u Rafał Górak.

Cóż, fakty są takie – choć na razie w Katowicach głośno o tym nie mówią – że ekipę ze stolicy województwa śląskiego dzielą tylko dwa mecze od gry w europejskich pucharach! A wydaje się, że drużynie nic nie brakuje. Ma dobrego bramkarza, Rafała Strączka, który został bohaterem, broniąc rzut karny Frana Alvareza, szczelną linię obrony i fantastycznego zawodnika ofensywnego Bartosza Nowaka, który znów zachwycił, pokonując Bartłomieja Drągowskiego z 11 metrów strzałem w stylu Antonina Panenki.

Z kolei Widzew może już spisać sezon na straty. Gra w Pucharze Polski miała być zadośćuczynieniem za słabą postawę w lidze. Tymczasem Łodzianie już odpadli z rozgrywek, a ich los w ekstraklasie dalej jest niepewny. Złość kibiców jest więc całkowicie zrozumiała.

– Jesteśmy rozczarowani. Nie sprostaliśmy oczekiwaniom fanów. To trudny moment, ale jestem dumny z zespołu, z jakości, jaką zaprezentował. Rzuty karne to loteria, a niewykorzystane „jedenastki" to część futbolu – powiedział trener Widzewa Igor Jovicević.

Trudno jednak przejść obojętnie wobec tego, że chorwacki szkoleniowiec w żaden sposób nie pomógł zespołowi w serii rzutów karnych. W dogrywce ściągnął z boiska Sebastiana Bergiera, człowieka, który pięciokrotnie w tym sezonie uderzał z „wapna" i pięć razy trafił. Wprowadził za to na boisko Mariusza Fornalczyka, który jest w słabej formie. W każdym meczu za wszelką cenę chce trafić do siatki, żeby się odblokować, ale nie jest w stanie tego zrobić. Ten sam Fornalczyk na koniec rywalizacji, pod presją, uderzył wysoko ponad poprzeczką i GieKSa mogła świętować. Później schodził do szatni ze łzami w oczach. Czy to wina piłkarza, czy może trenera, który źle zdiagnozował, czego potrzebuje jego drużyna w kluczowym momencie?

Kacper Janoszka

CZTERY PYTANIA DO...

Czułem odpowiedzialność

RAFAŁA STRĄCZKA, bramkarza GKS-u Katowice

1. Znacząco pomógł pan w awansie GKS-u do półfinału Pucharu Polski. W serii jedenastek obronił pan strzał Frana Alvareza, a później „wszedł do głowy" Mariusza Fornalczyka, który przestrzelił. Co czuł pan w trakcie rzutów karnych?

- W takich chwilach czuję odpowiedzialność. To ja bronię dostępu do bramki i jeśli zatrzymam strzelca, chłopakom z drużyny będzie łatwiej. To jednak właśnie na tych, którzy uderzają, ciąży dużo większa presja. To oni muszą trafić w ten prostokąt, na drodze do którego stoi bramkarz.

2. GieKSa jest w świetnej formie. Jest o dwa mecze od europejskich pucharów (półfinał i finał PP), a w ekstraklasie od top 4 dzielą ją tylko cztery punkty. Pojawiają się już myśli i marzenia o grze na arenie międzynarodowej?

- Nie możemy myśleć o tym, że europejskie puchary już są za rogiem. GKS to drużyna, która jest skromna, ale też zdaje sobie sprawę ze swoich możliwości. Co możemy zrobić do końca sezonu? Przechodzić z meczu na mecz i punktować. Co ma być, to będzie, a na razie trzeba wykonywać codzienną pracę.

3. W ciągu miesiąca dwukrotnie GKS pokonał Widzew, który latem i zimą wydał ponad 20 milionów złotych na wzmocnienia. Czy na boisku czuć, że to ekipa z ogromnymi umiejętnościami indywidualnymi?

- Widzew ma sporo jakości i widać to na pierwszy rzut oka. W niektórych sytuacjach oczywiście zauważalne jest to, że brakuje mu zgrania. Gdyby jednak Łodzianie do swojej gry dołożyli skuteczność, której im brakuje, będą tworzyć bardzo silny zespół. Nie bez powodu za tych zawodników płaci się spore pieniądze, ponieważ mają bardzo wysokie umiejętności.

4. W GieKSie też są indywidualności – Bartosz Nowak trafił z rzutu karnego, uderzając podcinką...

- Szacun dla Bartka! To podsumowanie tego, w jak dobrej jest formie. Oddać taki strzał w takiej chwili? Jest kozakiem! Jest liderem zespołu, choć jest cichym człowiekiem. Gdy jednak trzeba coś powiedzieć, zabiera głos i wspiera drużynę pod względem taktycznym czy mentalnym.

Rozmawiał Kacper Janoszka

Sport fae895e8fe

Zawisza Bydgoszcz – Chojniczanka Chojnice
1:1 (1:0, 1:1) 5:4 w karnych

1:0 – Kozłowski, 31 min, 1:1 – Sabala, 64 min

ZAWISZA: Oczkowski – Wszołek, Golak, Staniak, Sławek (110. Nowak) – Cywiński, Kona, Szramowski (82. Pralat) – Strzyżewski (Bogusiewicz), Kozłowski (106. Bojas), Rak (82. Szumilas). Trener Adrian STAWSKI.

CHOJNICZANKA: Primel – Diallo (70. Olejnik), Juchymowycz, Tkocz – Bąkowicz, Guilherme (108. Żywicki), Szczepanek, Kamiński (57. Eizenchart) – Lemka (57. Kozina) – Sabala, Firlej (57. Oleksiewicz). Trener Marek BRZOZOWSKI.

Sędziował Sebastian Krasny (Kraków). **Widzów** 12000. **Żółte kartki**: Sławek – Szczepanek, Tkocz, Diallo, Eizenchart, Juchymowycz.

Cudowny sen trwa dalej!

Trzecioligowy Zawisza zameldował się w półfinale po pokonaniu Chojniczanki w serii rzutów karnych.

Zespół Chojniczanki przyjechał do Bydgoszczy i chciał osiągnąć dwa cele. Po pierwsze i najważniejsze, awansować do półfinału Pucharu Polski. Po drugie, zwycięstwo pozwoliłoby zdjąć klątwę niepokonanemu Zawiszy. Dotychczas obie drużyny mierzyły się ze sobą 18 razy. 12 spotkań wygrali Niebiesko-czarni, a sześć zakończyło się remisem. Nic więc dziwnego, że w Chojnicach chęć przełamania tej niekorzystnej serii była ogromna. Ostatecznie ambitne plany nie zostały zrealizowane, choć rozstrzygnięcie przyszło dopiero po rzutach karnych.

Lis pola karnego

Choć oba zespoły wyszły mocno zmotywowane, to pierwsza połowa nie porwała publiczności. Gospodarze szans szukali po stałych fragmentach, a goście z Chojnic po początku, w którym często byli w posiadaniu piłki, okopali się w okolicach swojej bramki i czekali na kontrataki. W takich warunkach na pierwszy "konkret" - i jedyny w tej części meczu - czekaliśmy pół godziny. Michał Cywiński wstrzelił piłkę w pole karne, a zza pleców zaskoczonych obrońców, niczym rasowy lis pola karnego, wyłonił się Filip Kozłowski i wyprowadził Zawiszę na prowadzenie.

Wyrównanie!

Bydgoszczanie w drugiej połowie szukali podwyższenia wyniku i mieli bardzo dobre sytuacje. Niewykorzystane okazje lubią się mścić i gospodarze boleśnie się o tym przekonali. Marcin Kozina położył dwóch zawodników gospodarzy i dograł piłkę do niezawodnego Valerijsa Sabali, który płaskim uderzeniem doprowadził do remisu.

Obie drużyny starały się, ale piłka już nie chciała wpadać do siatki. Zatem sędzia musiał zarządzić dodatkowe pół godziny.

Młody nie wytrzymał

W dogrywce zarówno drużyny Zawiszy, jak i Chojniczanki opadły z sił, ataki były sporadyczne, a czas nieubłaganie płynął. Nic jednak już się nie wydarzyło, dlatego w Bydgoszczy o awansie do półfinału musiały rozstrzygnąć rzuty karne!

Decydującą jedenastkę na wagę awansu Zawiszy wykonał Sebastian Golak, czyli były piłkarz... Chojniczanki. Z kolei w ekipie trenera Marka Brzozowskiego jedynego karnego nie wykorzystał 20-letni Jakub Żywicki. Młodego zawodnika zjadł stres i uderzył mocno, ale i wysoko nad poprzeczką. Zatem w półfinale zameldował się zespół z trzeciej ligi, który jest jedno spotkanie od finału na PGE Narodowym! Z kolei drużyna z Chojnic po raz czwarty odpadła w ćwierćfinale tych rozgrywek.

Miłosz Cebo

WSPARCIE Z NORWEGII

GKS KATOWICE

■ Potwierdziły się plotki o próbach sprowadzenia defensora Mariusa Olsena do GKS-u Katowice. Wczoraj Norweg podpisał półroczny kontrakt z GieKSą, z opcją przedłużenia o kolejne dwa lata. To 24-letni środkowy obrońca, który od stycznia pozostawał bez klubu po tym, jak rozstał się z Kristiansund. W poprzednim sezonie Eliteserien był czołową postacią zespołu – zagrał w 27 spotkaniach, w znaczącej większości od pierwszej do ostatniej minuty. **(kaj)**

ZALEGŁY MECZ 19. KOLEJKI

Czwartek, 5 marca, godz. 20.30 **Radomiak – Arka Gdynia**



Fot. Jakub Kaczmarczyk/PAP

Marcel Łubik odbija piłkę po strzale z jedenastu metrów Joela Pereiry.

Górnik w półfinale!

Niespodzianka w Poznaniu. Po sześciu wygranych z rzędu mistrz Polski znalazł pogromcę.

Przed meczem z zabrzanami trener Lecha dokonał w swoim zespole zmian przede wszystkim w formacji defensywnej. Po trzech straconych golach w niedzielnej ligowej rywalizacji z Rakowem w obronie od początku grali Joel Pereira, Mateusz Skrzypczak i Joao Moutinho. Zastąpili Roberta Gumnego, Antonio Milicia oraz Michała Gurgula. Jak pokazał środowy mecz, nie były to dobre decyzje.

Przyjezdni zaczęli w swoim stylu, ofensywnie. Gospodarze nie chcieli być dłużni. Szansę miał aktywny z przodu Leo Bengtsson, ale po strzale głową w wykonaniu Szweda piłka poszybowała nad poprzeczką. Mecz był szybki i żywy. Nie było gry na przeczekanie, murowania bramki czy czekania na błąd rywala.

Pierwszy gol Czecha

W Kolejorzu groźny był przede wszystkim będący w formie Mikael Ishak. Najpierw strzelał niecelnie, a w 26 minucie przemierzył dokładnie, ale za lekko i Josema zdołał wybić futbolówkę zmierzającą do siatki. U przyjezdnych próbował Lukas Sadilek, który oddał niecelny strzał, czy Sondre Liseth, którego szarża skończyła się potknięciem na będącej w trakcie wymiany murawie.

Z czasem przewaga gospodarzy robiła się coraz większa. Miejscowi częściej byli przy piłce, przejęli kontrolę nad środkową strefą boiska. Nie znaczy to, że zabrzanie czekali na to, co zrobi przeciwnik. W 33 minucie mocno i soczyście wypalił starający się Patrik Hellebrand, ale Bartosz Mrozek sparował piłkę na rzut rożny.

W końcu jednak Górnik trafił do siatki, po świetnej ackji pod koniec pierwszej połowy. Sadilek zagrał do starającego się Yvana Ikia Dimi. Francuz związał dwójkę obrońców, odegrał Czechowi, a ten pod poprzeczkę huknął tak, że Mrozek nie miał nic do gadania! To pierwsze trafienie doświadczonego pomocnika zza południowej granicy w barwach górniczej jedenastki.

Dwie czerwone kartki

Druga połowa rozpoczęła się od... czerwonej kartki. Zobaczył ją na ławce rezerwowych asystent trenera Michala Gasparika – Marian Hodulik. Widząc, że nie idzie, a czas ucieka, Frederiksen zdecydował się po godzinie na potrójną zmianę. Niewiele to zmieniło. Lechici nie bardzo mieli pomysł na sforsowanie dobrze zorganizowanej obrony przyjezdnych. Po przerwie poznaniacy grali zresztą gorzej niż w pierwszej części. Żeby ratować sytuację, na ostatni kwadrans wszedł bohater wygranego meczu z częstochowianami Yannick Agnero (gol zdobyty strzałem piętą). Też niewiele im to dało.

W 77 minucie sędzia znów sięgnął po czerwoną kartkę, ale tym razem sprawiła ona, że Górnik kończył mecz w dziesięciu. Zobaczył ją Maksym Chłań. Ukrainiec powalił wbiegającego w pole karne Pereirę. Sędzia podyktował rzut karny dla Lecha, a zawodnikowi Górnika pokazał druga żółtą kartkę. Do piłki ustawionej na 11. metrze podszedł poszkodowany Portugalczyk. Uderzył w swój lewy róg, ale akurat tam rzucił się Marcel Łubik i odbił futbolówkę!

W końcówce piłkarze Kolejorza próbowali zdobyć gola po strzałach... przewrotką. Nie udało się to jednak ani Palmie, ani Agnero. W tej sytuacji to Górnik cieszył się z wygranej i z awansu do półfinału! Awansu zasłużonego i okupionego wielką ambicją oraz poświęceniem.

(zich)

Lech Poznań – Górnik Zabrze
0:1 (0:1)

0:1 – Sadilek, 41 min

LECH: Mrozek – Pereira, Mońka, Skrzypczak, Moutinho – Gholizadeh (60. Ismaheel), Kozubal, Rodriguez (60. Thordarson), Bengtsson (60. Walemark), Palma – Ishak (74. Agnero). Trener Niels FREDERIKSEN.

GÓRNIK: Łubik – Sacek, Janicki, Josema, Zmrzly (65. Janża) – Ikia Dimi (65. Domingues), Kubicki (80. Olkowski), Hellebrand, Sadilek, Chłań – Liseth (90+3. Szcześniak). Trener Michal GASPARIK.

Sędziował Tomasz Kwiatkowski (Warszawa). **Widzów** 13 577. **Żółte kartki**: Sadilek, Chłań, Liseth Łubik. **Czerwona kartka** Chłań (77. za drugą żółtą).

1/4 PUCHARU POLSKI

■ **GKS Katowice – Widzew Łódź 1:1**. Karne 4-2
■ **Zawisza Bydgoszcz – Chojniczanka 1:1**. Karne 5-4
■ **Lech Poznań – Górnik Zabrze 0:1**
■ **Avia Świdnik – Raków Częstochowa,** czwartek, godz. 13.30
Losowanie półfinałów w piątek o godz. 12.00.

KOLEJNA WYMIANA...

■ Z trawą na stadionie przy ulicy Bułgarskiej były problemy od początku powstania obiektu na Euro 2012. Murawa rośnie tam fatalnie i co chwila wymaga wymiany. W listopadzie zeszłego roku położone zostały nowe rolki trawy, które miały wytrzymać do końca sezonu Tymczasem nawierzchnia została zniszczona w pierwszym meczu z Lechią 31 stycznia. Po niedzielnym spotkaniu z Rakowem podjęto niespodziewanie decyzję o jej ponownej wymianie! W środowym spotkaniu część boiska była zielona, a część szara. Druga część zostanie wymieniona jeszcze w tym tygodniu, przed kolejnymi grami mistrza Polski u siebie w lidze i w Lidze Konferencji.

CZY WIESZ, ŻE...

■ Oba zespoły grały ze sobą w środę po raz czwarty w pucharowych rozgrywkach. Pierwsze spotkanie w turnieju tysiąca drużyn odbyło się w marcu 1963 roku i zakończyło wygraną zespołu z Zabrza w ćwierćfinale na wyjeździe 4:2. Dwie bramki zdobyli wtedy Jerzy Musiałek, a po jednej Erwin Wilczek i Roman Lentner. Z kolei w półfinale rozgrywek pod koniec maja 1968 Górnicy wygrali z Lechem na jego terenie 2:0 po golach „Zygi" Szołtysika i Włodzimierza Lubańskiego, żeby potem triumfować w pucharze. Prawie dokładnie cztery lata temu, 2 marca 2022, Górnik przegrał natomiast rywalizację z poznaniakami w ćwierćfinale, polegając u siebie 0:2, po dwóch golach Portugalczyka Joao Amarala. Teraz przyszła pora na rewanż!

(zich)

Sport fae895e8fe

Niewdzięczna rola faworyta

W ostatnim ćwierćfinale Pucharu Polski trzecioligowa Avia Świdnik podejmie Raków. Częstochowianie są murowanymi faworytami, ale kilka przesłanek nie pozwala im z pełnym spokojem jechać na Lubelszczyznę.

ĆWIERĆFINAŁ PUCHARU POLSKI

Czwartek, 5 marca, godz. 13.30
Avia Świdnik - Raków Częstochowa

Kto wie, czy to nie jeden z najważniejszych meczów Rakowa w tym sezonie. Jeśli nadal będzie tracić w lidze punkty z taką częstotliwością, jak w pierwszych pięciu wiosennych meczach, Puchar Polski może stać się jedyną szansą sięgnięcia po trofeum, a przede wszystkim pozostania w europejskich pucharach na kolejny sezon.



Fot. Paweł Jaskółka/PressFocus

Lamine Diaby-Fadiga (w środku) oraz Michael Ameyaw (z prawej) nie zachwycili w Poznaniu. Czy zrehabilitują się w Świdniku?

Mecz-pułapka

To jeden z tym meczów, w którym ewentualne potknięcie nie zostanie wybaczone. Dla Rakowa Puchar Polski jest niezwykle ważny, trzy sezony z rzędu (2021-23) dochodził do finału tych rozgrywek, dwukrotnie je wygrywając. W poprzednim sezonie potknął się już na pierwszej przeszkodzie, w 1/32 finału odpadając z Miedzią Legnica, stąd chęć powetowania niepowodzenia jest jeszcze większa.

Tym bardziej, gdy los do Częstochowian szeroko się uśmiechnął. Zamiast Lecha, Górnika czy Widzewa, aby zagrać w półfinale, wystarczy pokonać rywala występującego trzy klasy rozgrywkowe niżej! Oczywiście o zlekceważeniu jakiegokolwiek przeciwnika nie ma mowy. Tym bardziej że choć Avia występuje na co dzień w III lidze, to jest klubem mocno profesjonalnym, z planami sięgającymi zdecydowanie wyższych klas rozgrywkowych. W drużynie już teraz są znane ligowe nazwiska: Damian Zbozień, Patryk Małecki czy Andrij Remeniuk.

Co ciekawe, będzie to już dziewiąta konfrontacja obu klubów w meczu o stawkę, ale ostatnia miała miejsce... 43 lata temu i zakończyła się bezbramkowym remisem. Częstochowianie mierzyli się z Avią w dawnej II lidze, a bilans dotychczasowych gier jest bardzo wyrównany: trzy wygrane Rakowa, trzy remisy i dwie porażki. Teraz wygrana i awans są dla Medalików jednak obowiązkiem. Tym bardziej że mają się za co rehabilitować kibicom – początek rundy rewanżowej w ekstraklasie ewidentnie im bowiem nie wyszedł.

Szansa zmienników?

Być może konfrontację z niżej notowanym rywalem trener Łukasz Tomczyk (choć jego akurat nie będzie na ławce rezerwowych, to konsekwencja czerwonej kartki w meczu z... Avią w poprzedniej rundzie, jeszcze jako trener Polonii Bytom) zdecyduje się dać zagrać w szerszym wymiarze czasowym piłkarzom, którzy dotąd albo wchodzili na końcówki, albo nie grali wcale.

Mowa tu choćby o Mitji Ileniciu czy Pawle Dawidowiczu. Może to też najlepsza okazja na odblokowanie Leonardo Rochy, jeśli klub chce z niego mieć w tym sezonie jeszcze jakiś pożytek? Ewentualnie na sprawdzenie Isaka Brusberga, który zadebiutował w końcowych minutach ostatniego meczu w Poznaniu (3:4) i nie można powiedzieć, aby był bierny na boisku.

Na szansę w bramce liczy zapewne również Kacper Trelowski. Oliwier Zych nie popełnia poważniejszych błędów, w Poznaniu uchronił drużynę w kilku groźnych sytuacjach, ale jednak wpuścił cztery gole. W Pucharze trenerzy często dają szansę rezerwowym golkiperom, ale w tym sezonie w Rakowie akurat ta zasada nie obowiązywała. Stawka jest tak wysoka, że nikt raczej nie zdecyduje się na wielkie eksperymenty.

Mariusz Rajek

Potrafimy i lubimy grać



Rozmowa z **Sebastianem Lemieszkiem**, prezesem Avii Świdnik

Świdnik jest gotowy na wielkie piłkarskie święto? Walka o półfinał Pucharu Polski elektryzuje miasto?

- Jest to wydarzenie sportowe na skalę półwiecza w naszym mieście. Atmosferę już mocno czuć, zarówno u nas w klubie, jak i na mieście. Staramy się marketingowo tę chwilę wykorzystać, jak tylko się da. Bardzo mocno promujemy to wydarzenie, zapraszamy wszystkich partnerów do współpracy. Jest to także ogromne wyzwanie organizacyjne. Złapał mnie pan akurat przy płycie boiska, która cały czas jest przygotowywana. Trochę wyzwań jeszcze przed nami, ale pracujemy nad tym, aby w dniu meczu być gotowi na sto procent.

Szkoda chyba tylko, że takie mecze gramy o 13.30 w czwartek...

- Niestety, na to nie mamy większego wpływu, jest to związane z brakiem u nas oświetlenia. Będzie zamontowane w tym roku. Ten mecz musiał mieć taką godzinę ze względu na dość wczesny zachód słońca. Musimy też brać pod uwagę dogrywkę czy rzuty karne. Na rozegranie meczu w weekend raczej nie pozwoliłby napięty terminarz rozgrywek ekstraklasy.

W miniony weekend powróciliście do rozgrywek ligowych. Wygrana 2:0 ze Stalą Kraśnik pozwoliła utrzymać pozycję lidera 4. grupy III ligi, więc widać, że forma jest.

- Jak najbardziej, przepracowaliśmy bardzo mocno okres przygotowawczy. Wzmocniliśmy skład, bo choć jesteśmy liderem, to czujemy oddechy KSZO Ostrowiec Świętokrzyski i Chełmianki. Będziemy robić wszystko, aby do końca sezonu utrzymać pierwsze miejsce, taki jest nasz cel.

Rozumiem, że awans do II ligi to absolutny priorytet Avii w tym sezonie i nie zamieniłby pan tego nawet na występ na PGE Narodowym?

- To jest chyba zbyt podchwytliwe pytanie (śmiech). Przed sezonem założyliśmy sobie cel, jakim jest awans do II ligi i bardzo chcemy go zrealizować. To jest zadanie nadrzędne, natomiast nie byliśmy na tyle odważni, aby postawić sobie za cel ćwierćfinał Pucharu Polski. Nie chcę też jednak powiedzieć, że ten sukces nas zaskoczył, bo jest wynikiem ciężkiej pracy, jaką zespół wykonuje od wakacji. Musimy sobie teraz poradzić z walką na dwóch frontach, w czwartek zrobimy wszystko aby wygrać, wiemy jednak, że jeszcze 13 kolejek ligowych przed nami i wiemy, o co toczy się gra.

Macie pomysł jak ograć Raków? Wicemistrzowie Polski czasami gubią się, gdy muszą przejąć inicjatywę.

- Jesteśmy zespołem, który potrafi i lubi grać w piłkę. To nie zdarza się często na czwartym poziomie rozgrywkowym. U nas jest inaczej, co udowodniliśmy w meczach z Ruchem Chorzów i Polonią Bytom. Liczymy, że to będzie typowo piłkarski mecz. Jasne, że mamy ogromny respekt dla Rakowa, szanujemy jego sukcesy, może nawet podziwiamy. Wiem też, że istnieje taka korespondencyjna walka pomiędzy szkoleniowcami obu drużyn – Wojciechem Szaconiem i Łukaszem Tomczykiem. Trener Rakowa do tej pory nie wspomina dobrze meczów w Świdniku, bo z racji czerwonej kartki nie będzie teraz mógł być na ławce rezerwowych. Takie gierki słowne też są oczywiście częścią meczów piłkarskich, więc liczymy na podtrzymanie dobrej passy trenera Avii.

Miał pan okazję obejrzeć niedzielne 4:3 Lecha z Rakowem?

- Niestety nie, oglądałem wtedy mecz siatkówki, bo Avia to również ta dyscyplina sportu.

Avia jest w dobrym położeniu, bo ma wszystko do wygrania, a Raków może jedynie przegrać, bo każdy wymaga od niego pewnego awansu.

- To jest kolejny mecz, w którym nie mamy nic do stracenia. Możemy po prostu znów udowodnić, że potrafimy grać w piłkę. Avia jest zespołem nastawionym ofensywnie, szczególnie jeśli spojrzymy na nasze „dziesiątki". Nie wiem, jaki plan na ten mecz będzie miał trener, zresztą nawet gdybym wiedział, to nie chciałbym tego zdradzać. Spróbujemy Raków zaskoczyć ciekawymi zagraniami taktycznymi. Na pewno drużyna ma już coś przygotowane.

Jesteśmy zespołem, który potrafi i lubi grać w piłkę. To nie zdarza się często na czwartym poziomie rozgrywkowym. U nas jest inaczej, co udowodniliśmy w meczach z Ruchem Chorzów i Polonią Bytom. Liczymy, że to będzie typowo piłkarski mecz.

Kilka lat temu piękną historię w Pucharze Polski napisali Błękitni Stargard. W drużynie II-ligowca, który doszedł do półfinału, roiło się od zawodników, którzy łączyli grę z pracą. Mamy podobne historie w Avii?

- Nie, u nas czegoś takiego nie ma. Podchodzimy do tego bardzo profesjonalnie, nasi zawodnicy nie pracują i mogą się w pełni skupić na piłce. Piłka nożna jest ich jedynym źródłem utrzymania. Na poziomie III ligi jeszcze się to zdarza, znam wielu piłkarzy, którzy poza grą w piłkę są aktywni zawodowo, a trenują popołudniami. My taką drogą nie chcemy jednak podążać, aspirujemy wysoko i wymagamy od zawodników pełnego poświęcenia się piłce.

Rozmawiał Mariusz Rajek

Sport fae895e8fe

KOMENTARZ „SPORTU”



Piotr Tubacki

Dotyk trędowatego

GKS Tychy niechybnie zmierza w kierunku 2. ligi. Co do tego nikt chyba nie ma wątpliwości, a jeśli twierdzi, że ma – to zapewne kłamie lub próbuje zakrzywiać rzeczywistość. Po kibicach widać zwątpienie, by nie powiedzieć, że poddanie. W sieci nie brakuje ankiet z pytaniami o spadek, w których dominuje odpowiedź: „tak”.

Czy to dziwne? Ogólnie rzecz ujmując, to owszem. Niewiele bowiem wskazywało, że akurat GKS zsunie się o jeden szczebel, szczególnie że w Tychach cały czas nieśmiało podnosili rączkę do góry, by przebić się przez tłum chętnych i zasygnalizować swoje awansowe aspiracje. Klub miał stabilną sytuację finansowo-organizacyjną, nie najgorsze zaplecze, relatywnie niewielką presję. Nic, tylko pracować, tym bardziej że i miasto do życia w porządku. Kluczowe wydarzenie miało jednak miejsce 3 lata temu.

Wtedy właśnie ogłoszono, że GKS ulega prywatyzacji. Pojawił się amerykański właściciel i... pojawiły się wątpliwości. Na prawo i lewo trąbiono bowiem o tym, że niemal wszystkie kluby, w które próbowali inwestować Jankesi, w krótkim okresie popadały w wielkie kłopoty.

Z angielskim Barnsley zaczęli dobrze, awansowali do Championship i nawet załapali się na baraże, ale potem znowu zlecieli i wrócili do punktu wyjścia – czy też nawet postawili jeszcze krok wstecz. Belgijskie Oostende? Upadło, wycofało się z rozgrywek rok po tym, jak Amerykanie weszli w GKS. Francuskie Nancy? Miała być Ligue 1, a wyszedł spadek na trzeci szczebel. W tym sezonie zespół wrócił do Ligue 2, ale jako beniaminek rozpaczliwie walczy o utrzymanie.

Duński Esjbjerg? Kompletny chaos i spadek do 3. ligi (już wrócili poziom wyżej, ale do Superligi jeszcze daleko).

Właściciel GKS-u narobił też problemów w FC Thun, ale wedle dostępnych informacji – od kilkunastu miesięcy już tam nie działa. No i klub... jako beniaminek zmierza po sensacyjne, pierwsze w historii mistrzostwo Szwajcarii!

Ale dobra, dobra – uważni Czytelnicy zauważą, że nie padła w tym tekście nazwa właściciela. No bo... do końca nie wiadomo, kto nim jest. W GKS-ie to Tychy Investment Company Limited, obecnie posiadająca ok. 75 procent udziałów. Niewiele to jednak mówi, bo liczy się , kto za taką spółką stoi. Od początku wydawało się, że to Pacific Media Group. Takie informacje podał Urząd Miasta Tychy, takie informacje podała kancelaria prawna, która dopinała proces przejęcia przed trzema laty. To właśnie PMG odpowiada za wszystkie te „sukcesy” wymienione akapit wcześniej. Pełniący obowiązki prezesa w GKS-ie Max Kothny rok temu zaprzeczył jednak, twierdząc, że PMG... nigdy udziałów w Tychach nie miało, a że jedynie pomogło w transakcji. Zdaniem p.o. prezesa właścicielem klubu jest firma z branży filmowej TSG Entertainment, której właścicielem (większościowym) jest The Seelig Group – i okej, ludzie z nią związani są w zarządzie i radzie nadzorczej.

Wszystko to strasznie zagmatwane i poplątane, ale pewne jest jedno – Pacific Media Group dotknęło GKS-u Tychy i... jak trędowaty przekazało klubowi chorobę, która trapiła też inne zagraniczne ekipy – mimo że przecież początki na Śląsku były bardzo obiecujące, zaznaczmy to wyraźnie! Szło okej! Gdy jednak Amerykanie pojawili się w Tychach, z innych miejsc Europy można było słyszeć o strategii stawiania na młodych, by ich sprzedać i zarobić. Że kasa ma dla nich wielkie znaczenie – i mamy to przy Edukacji. W końcu przed sezonem budżet klubu został ograniczony, bo... nie było awansu. Latem kadra drużyny została wyraźnie osłabiona, trenerowi Arturowi Skowronkowi rzucono kłody pod nogi, a to, co dzieje się teraz – to już czysta desperacja. Niestety, wątpliwości sprzed trzech lat znajdują potwierdzenie w rzeczywistości.

„Biała gwiazda” chce walkowera!



Fot. Łukasz Laskowski/PressFocus

Prezes Wisły Jarosław Królewski wytoczył grube działa przeciwko klubowi ze stolicy Dolnego Śląska.

Otwarty konflikt na linii Wrocław - Kraków przybiera na sile. Sobotnie spotkanie Śląska z Wisłą jest zagrożone.

Wrocławski klub podjął decyzję, że ze względów bezpieczeństwa nie udostępni gościom biletów. W odpowiedzi prezes Krakowian Jarosław Królewski zapowiedział, że nie wyśle drużyny na mecz i domaga się walkowera.

Informacje o tym, że Śląsk nie wpuści kibiców Wisły pojawiały się już wiele tygodni wcześniej. Oficjalny pierwszy komunikat w tej sprawie wrocławski klub wydał 27 lutego. Powodem podjęcia decyzji o niewpuszczeniu fanów z Krakowa miało być „zapewnienie bezpieczeństwa i zminimalizowanie wystąpienia jakiegokolwiek zagrożenia dla uczestników imprezy masowej”.

Pod naciskiem fanów?

To nie był jednak ostatni komunikat wrocławskiego klubu związany z meczem z Wisłą. Pojawiły się bowiem zaraz informacje w przestrzeni publicznej, że tak naprawdę włodarze klubu ulegli naciskom fanów, którzy postawili ultimatum: „albo na stadionie my, albo oni”.

Prezes Remigiusz Jezierski zaprzeczał w mediach tym doniesieniom i klub wydał kolejny komunikat, w którym można przeczytać m.in.: „Nie ma mowy o kierowaniu się presją osób trzecich lub presją medialną w sytuacji, w której mowa o bezpieczeństwie uczestników wydarzenia. Zgodnie z Uchwałą nr II/85 Zarządu PZPN klub gospodarz ma prawo odmówić przyjęcia zorganizowanej grupy kibiców gości w szczególnie uzasadnionych przypadkach podyktowanych względami bezpieczeństwa. Jako organizator imprezy masowej Śląsk Wrocław ponosi odpowiedzialność prawną za bezpieczeństwo osób uczestniczących w wydarzeniu, a decyzja o nieprzyjęciu zorganizowanej grupy kibiców gości ma charakter prewencyjny i stanowi realizację zasady należytej staranności organizatora imprezy masowej”.

Policja dementuje

W obu komunikatach Śląsk podkreślił, że decyzję o niewpuszczaniu kibiców „Białej Gwiazdy” podjął po konsultacjach z policją, która zakwalifikowała spotkanie jako mecz podwyższonego ryzyka. Ale rzecznik prasowy Komendy Miejskiej Policji we Wrocławiu, komisarz Wojciech Jabłoński podkreślił, że policja nie wydawała żadnych rekomendacji dotyczących wpuszczania bądź nie kibiców gości. - Decyzja o niewpuszczeniu kibiców Wisły Kraków została podjęta arbitralnie przez klub WKS Śląsk Wrocław - powiedział Jabłoński.

- To, że mecz zakwalifikowany jest jako spotkanie podwyższonego ryzyka nie oznacza, że nie można wpuszczać kibiców gości. My takie rekomendacje wydaliśmy przed sezonem już 2 lipca i tam kilka spotkań, w tym to z Wisłą, zostało za takie uznane. Spotkaniem podwyższonego ryzyka było także niedawne z Odrą Opole, a kibice tego klubu byli na nim obecni - wyjaśnił PAP rzecznik KMP we Wrocławiu.

Kulesza nie pomógł...

Władze Wisły od początku nie zgadzały się, aby ich kibice nie mogli oglądać meczu na żywo. Prowadzone były rozmowy z Jezierskim z udziałem prezesa PZPN Cezarego Kuleszy. Kompromisu nie osiągnięto.

Swoje stanowisko za pośrednictwem portalu X przedstawił prezes Królewski, zapowiadając, że nie wyśle zespołu do Wrocławia i domagając się walkowera dla Wisły!

„W związku z napływającymi informacjami - jeszcze dziś wniesiemy prośbę o nałożenie kary walkowera na WKS Śląsk Wrocław i zweryfikowanie meczu WKS Śląsk Wrocław - Wisła Kraków z dnia 6 marca 2026 r. na 0:3 dla zespołu Wisła Kraków na podstawie art. 64 par. 1 pkt 2 Regulaminu Dyscyplinarnego PZPN, a także na podstawie art. 10 ust. 7 Uchwały nr III/39 z dnia 31 marca 2025 roku PZPN oraz par. 7 ust. 6 pkt. 3 w związku z par. 6 ust. 5 uchwały nr IX/140 z dnia 3 i 7 lipca 2008 r. PZPN w sprawie organizacji rozgrywek w piłkę nożną (tekst jednolity) w związku z brakiem wyznaczenia przez WKS Śląsk Wrocław innego boiska (stadionu) spełniającego warunki bezpieczeństwa gwarantujące udział zarówno kibiców Wisły Kraków podczas meczu z WKS Śląsk Wrocław, jak i zawodników I drużyny, sztabu oraz zarządu Wisły Kraków. Nie wyślemy swoich zawodników i zespołu do Wrocławia, jeśli sytuacja nie ulegnie zmianie” - napisał i zapowiedział, że informacja o ostatecznej decyzji zostanie opublikowana w piątek rano.

Dwuletni bojkot

Problem z wpuszczeniem kibiców Wisły na mecze wyjazdowe ciągnie się września 2023 roku. Wówczas, podczas turnieju charytatywnego zorganizowanego przez kibiców Unii Tarnów w Radłowie (woj. małopolskie), doszło do bójki z grupą chuliganów z Bielska -Białej i Sosnowca, którzy zamierzali ukraść flagi. W zamieszkach, w wyniku wybuchu racy, zginął 40-letni mieszkaniec Bielska- Białej. W tej sprawie od września 2025 roku przed Sądem Okręgowym w Bielsku-Białej toczy się proces, w którym na ławie oskarżonych zasiada 60 osób. Dziewięciu oskarżonym grozi do 10 lat więzienia, pozostałym - do pięciu lat.

Część środowiska pseudokibiców uznała, że winnymi tragedii są osoby związane kibicowsko z Wisłą i zaczęła wymuszać na swoich klubach decyzje o nieudostępnianiu sektora gości dla fanów krakowskiego klubu. Nieformalny bojkot trwał do sierpnia ubiegłego roku. Potem, m.in. wskutek działań PZPN, podnoszących kary dla klubów za takie praktyki, kibice Wisły mogli oglądać wyjazdowe mecze swojego zespołu.

(kj, PAP)

Sport fae895e8fe

Trochę się nas boją, a t

Rozmowa z **Robertem Talarczykiem**, aktorem, scenarzystą i reżyserem, dyrektorem Teatru Śląskiego w Katowicach, autorem sztuki „Ezi"

Niedawno mieliśmy okazję gościć pana na naszych łamach przy okazji opowieści o spektaklu „Ezi". Tym razem rozszerzmy temat. Środowisko teatralne chyba niespecjalnie „zazębia" się ze środowiskiem futbolowym?

- O, to by się panowie zdziwili! Darek Chojnacki, kibic Górnika w „Weltmajstrach", na scenie gra... samego siebie. Bo w życiu też jest wielkim kibicem Górnika!

To tym bardziej piękny punkt wyjścia do naszej rozmowy. Generalnie bowiem piłka nożna rzadko trafia na wielki ekran, o deskach teatralnych już nie wspominając...

- No bo jak dobrze pokazać mecz? W filmie fabularnym to rzeczywiście trudne. Oczywiście Janusz Zaorski zrobił „Piłkarski poker", ale przecież to nie jest opowieść o meczach, a o tym, co się dzieje za kulisami, a przede wszystkim – o przekrętach, o sędziach, a nie o rywalizacji na boisku.

Na polskim gruncie mieliśmy jeszcze choćby „Boisko bezdomnych"...

- No tak, ale to też film niejako „obok" piłki, bez udziału futbolowych gwiazd. Nie widziałem takiego filmu, w którym gwiazdą i ekranu, i boiska był na przykład Pele czy Maradona., i w którym w za***isty sposób pokazany byłby prawdziwy mecz. Widzieliście zapewne „Gwiazdy" - film oparty na życiu Jana Banasia. Naprawdę niełatwo zrobić to tak, by widz – siedząc w kinowym fotelu – miał wrażenie, że jest na stadionie. Bierze się autentyczny materiał archiwalny, ze zbliżeniem czyjegoś biegu z piłką, i robi się przebitkę, ale od razu widać, że to ściema. Natomiast w teatrze chyba łatwiej umieścić wątek futbolowy, bo teatr żywi się metaforą. Nie trzeba na scenie pokazywać meczu, żeby były emocje, bo widz wie, że my się z nim na coś umawiamy, puszczamy do niego oko. Dlatego tych trzech paciuloków-kibiców w „Weltmajstrach" może się spotkać w knajpie, patrzeć gdzieś w widownię, a ludzie na niej ten mecz widzą.

Dla pana obecność na piłkarskim widowisku nie jest niczym niezwykłym?

- Pewnie nie jestem w tej dziedzinie tak aktywny, jak Zbysiu Rokita, który ze swoją Baśką jeździ po tych czwartych czy piątych liga, bo – jak mówi i pisze – „tam są najfajniejsze mecze". I wiecie co? Jest w tym sporo racji. W Mikołowie na Kamionce też mają swój klub, byłem tam raz na meczu. Lotały tam trzi takie chopy, po 50 lot miały, brzuchy im wystawały spod koszulek. Jest klimacik...

Skądinąd wiadomo, że częściej można było pana spotkać na starym stadionie Rozwoju na Brynowie?

- Owszem, bo to mój drugi ulubiony klub, a co do chodzenia na jego mecze: szanuję to, co robią dziś w Rozwoju, przede wszystkim stawiając na wychowanie młodych, ale to już jest tylko czwarta liga. Bywałem na stadionie zwłaszcza wtedy, kiedy ten Rozwój się do pierwszej ligi wspinał. Syna wtedy na mecze zabierałem, bywali też tam moi aktorzy, wspomniany Darek Chojnacki był parę razy.

Powiedział pan „drugi ulubiony". A skąd się wziął „klimat zabrzański" w pana kibicowskich wyborach?

- Po ojcu, już nieżyjącym niestety. Był fanem Górnika, chodził na jego mecze, na Stadion Śląski, w gronie 85 tysięcy ludzi. Manchester United, Roma i tak dalej. Był na wszystkich tych spotkaniach, no i mnie tym zaraził. Górnikiem i Realem. No bo ten Real w latach 50. niepokonany był, tak jak Górnik dekadę później. I też na biało grał, jak Górnik. I tak mu się to „zlinkowało".

A pan piłkę kopał tylko między familokami czy w klubie też?

- Eeee, chyba na jednym treningu w Rozwoju byłem, a potem tam i moje dziecko zatargałem. Taka rodzinna tradycja, bo mam gdzieś zdjęcie drużyny Rozwoju, pewnie z późnych lat 50. Jest na nim tato ze swoim późniejszym szwagrem i chyba z bratem. Jerzy Talarczyk stał na bramce i ponoć był na tyle dobry, że później miał propozycję z ROW-u Rybnik, ale podobno się wystraszył i nie poszedł do tego RO-W-u. Legenda rodzinna, że mógł wielką karierę zrobić przetrwała...

Pan w ich ślady – jak wiemy – nie poszedł, a inne sporty w pana życiu były?

- Też nie. Raz, już w szkole teatralnej, bodaj na drugim czy trzecim roku, byłem na obozie narciarskim. Był obowiązkowy, na zaliczenie. Dupne narty od kuzyna pożyczyłem, coś ze 2,10 m długości – ale nie takie carvingowe, jak dziś, co same jeżdżą. Utrzymać się na tamtych to była sztuka. Do tego buty Kasprowy chyba... „Kup sobie karnet na dziesięć przejazdów, bo się bardziej opłaca" - mówią mi Czesi. Kupiłem. Pierwsze podejście do orczyka – leżę. Drugie, trzecie... Siedem razy podchodziłem, i za każdym razem – jak już byłem blisko – się wywracałem. Jakiś Pepik z boku stał i patrzył, co robię. „Polak, tu stój, tego się chyć" - w końcu mi powiedział. Udało się; darliśmy do połowy góry i... nagle lina się urwała! Musiałem zdjąć te narty, szedłem pieszo na górę. I pługiem z niej zjeżdżałem, żeby zaliczyć te zajęcia. Na sam koniec się na jakiś płot władowałem... Ksywkę „Yeti" mi wtedy dali, bo na dole cały biały byłem.

Wróćmy do piłki – i jej kibiców. Nie żal panu trochę tych czasów, w których sympatycy różnych klubów i z różnych miast mogli siedzieć obok siebie na stadionie i tylko buteleczkę sobie podawali?

- Dziś to rzeczywiście jest masakra, choć za moich kibicowskich czasów też bywały sztamy i kosy. Choć te ostatnie – chyba nie tak brutalne jak dziś, ale jak się wieczorem szło po Katowicach i udzieliło złej odpowiedzi na pytanie „za kim jesteś?", można było nieźle po ryju dostać.

A koledzy-studenci ze szkoły aktorskiej nie spoglądali dziwnie, gdy rozpoczynał pan gadkę o futbolu? Znów wracam do tematu rozdzielności dwóch środowisk...

- No właśnie z tą rozdzielnością bywa różnie. Anegdota z ostatnich miesięcy: realizowałem spektakl w Teatrze Żydowskim, gdzie spotkałem mojego bardzo dobrego kumpla, Piotrka Wiszniowskiego. Aktor bardzo dobry i kibic Legii. Ma co prawda problem taki jak ja – też mu się nie podoba, jak się kibole naparzają, ale fanem jest totalnym. Dał mi koszulkę Reprezentacji Artystów Polskich, bo kiedyś coś tam w niej grał. Ja mu się zrewanżowałem koszulką i szalikiem Rozwoju. I on ją założył na próbę, a ja zdjęcie z tej próby wrzuciłem na Instagrama. Zobaczył je tam przywoływany już Darek Chojnacki, co Legii oczywiście nienawidzi, a w „Weltmajstrach" nawet to słychać. „Co on za kibic Legii, jak koszulkę Rozwoju zakłada?" - od razu zapytał i jeszcze mocne słowo dorzucił ze śmiechem.

No to jeszcze jeden wątek o przenikających się światach piłki i kultury „wysokiej": teatru, literatury. Zdarzyła się panu kiedyś reakcja teatralnej publiczności podobna do zachowań stadionowych? Euforia jak po golu, gwizdy, okrzyki?

- Aż tak to nie. Choć widzowie w teatrze są pewnie trochę z innego świata niż kibice, a i aktorzy też, to wśród tych ostatnich są tacy z duszą kibica! Już nie pamiętam, czy były to mistrzostwa świata, czy Europy. Graliśmy wtedy na deskach naszego Teatru Śląskiego „Piątą Stronę Świata", trwającą – z przerwą – mniej więcej dwie godziny i dziesięć minut. To był dzień jakiegoś meczu Polaków. Wpadłem tamtego wieczoru na chwilę do teatru, bo coś tam miałem do załatwienia i stanąłem jak wryty. „Gdzie oni wszyscy są? Przecież jeszcze spektakl powinien trwać" - pytam inspicjentkę. „A siedzą wszyscy w garderobie i mecz oglądają" - słyszę w odpowiedzi. I dalej „zagrali całość w godzinę



Robert Talarczyk (z lewej) w towarzystwie reżysera „Eziego" Janusza Zaorskiego.

Fot. facebook.com/teatrtelewizji

Sport fae895e8fe

trochę nam zazdroszczą



Kadr z „Weltmajstrów". Od lewej: Mirosław Neinert, Dariusz Chojnacki, Barbara Lubos, Robert Talarczyk.

Fot. Przemysław Jendroska/materiały promocyjne

i czterdzieści pięć minut, żeby zdążyć".

Rozumiem, że kibicowanie jest potrzebne człowiekowi, któremu – nawet w teorii – daleko do sportowych wzruszeń?

- Absolutnie tak, bo w nim nie tylko o sam fuzbal chodzi. Choć prawdę mówiąc, w ostatnich latach trochę mi „zajawka" na sport przeszła. Bo w dużej mierze przestał być radością, a jest już tylko komercją. To, co się dzieje w tej chwili, już nie przypomina tego, co było 30 czy 50 lat temu. Z drugiej strony – a wy to pewnie wiecie sto razy lepiej ode mnie – że żyjemy w najlepszych piłkarskich czasach.

Z jakiego punktu widzenia?

- A choćby w kontekście gwiazd futbolu. Messi ma cztery dychy, Ronaldo tak samo albo Lewandowski - obiektywnie nie było lepszego piłkarza w polskim futbolu. Owszem, on nie miał szczęścia w reprezentacji, ale jakby tak za 50 lat porównywać go z Bońkiem, czy Latą, który przecież dwa razy był na trzecim miejscu w świecie, to Lewandowski bezapelacyjnie postrzegany będzie jako numer jeden w historii. Zresztą za pół wieku już bezapelacyjnie wszyscy mówić będą, że Messi był najlepszy, a nie Pele.

Nam się wydaje, że żyjemy w takich czasach, w których trzy lata po zakończeniu kariery przez Lewandowskiego już go zapomną; młodzi nie będą widzieć, kto zacz.

- Owszem, jest wiele prawdy w pańskiej wizji tego naszego świata, w którym wszystko toczy się szybko i szybko przemija, ale pamięć odsączy to, co wielkie; i ci naprawdę wielcy zostaną na zawsze. Naprawdę żyjemy w czasach piłkarskich rekordów, których wcześniej nie było i być może długo nie będzie takich rekordów.

A z perspektywy człowieka, który się zajmuje sztuką, sport to też jest sztuka czy tylko rozrywka dla maluczkich?

- Bywa sztuką. Po pierwsze - w części jest niedostępny dla nas, zwykłych śmiertelników. Po drugie - on się dzieje tu i teraz, nie jest zaplanowany, wyreżyserowany. Choćby finał ostatniego mundialu. Niby czujemy, że przez włodarzy światowej piłki wiele rzeczy jest niewłaściwych, skorumpowanych, to mecz Argentyńczyków z Francuzami był czymś niebywałym; jakby wymknął się spod wszelkiej kontroli. To jest właśnie fuzbal, a szerzej – to jest właśnie sport. Pamiętam finał mistrzostw świata siatkarzy w Spodku. Żaden spektakl, żaden film nie może się z tym równać: piłka, która ma nie wejść, nagle wchodzi tam, gdzie chcieliby kibice... W koncercie rockowym też są prawdziwe emocje, ale jednak ten koncert ma swoją setlistę, która kieruje emocjami widzów, a mecz może być nudny – a nie ma nic gorszego niż nudny mecz, zupełna masakra – a nagle zdarza się w nim takie pięć czy dziesięć minut, z którymi nic się nie może równać!

Jeszcze raz o styku kultury i sportu, ale w ujęciu regionalnym. Na czym polega fenomen Śląska, gdzie piłkarze i trenerzy od zawsze rodzili się na kamieniu, ale jesteśmy też awangardą w innych dziedzinach? Teatr Śląski, Teatr Korez, laury w kraju dla granych po śląsku spektakli „Byk", „Mianujom mie Hanka", ostatnio dla „Tkoczy", a do tego literaci Zbigniew Rokita, Szczepan Twardoch...

- My jesteśmy inni - cokolwiek to znaczy. Mamy coś takiego – mówię teraz o sztuce, nie o fuzbalu - co jest interesujące dla innych, no bo właśnie jesteśmy inni. My, Ślązacy - nie tylko artyści, ale ludzie tu żyjący. Czasem sami nie potrafimy tej naszej „inności" rozgryźć, więc jaka ona musi być intrygująca dla tych spoza Śląska!



Życie i kariera Jana Banasia (na pierwszym planie) posłużyły jako kanwa filmu „Gwiazdy".

Fot. Jerzy Bydliński/archiwum „Sportu"

A „inność" bierze się ze szczególnej przeszłości i miejsca na mapie?

- Musimy pamiętać o tym, że Polska na Śląsku jest w niektórych miejscach sto lat, a w niektórych dopiero od czterdziestego piątego. A sześćset lat jej tu nie było. To my byliśmy... zaborcami, a nie byliśmy w zaborach - niektórzy wciąż to mylą. Więc nasza kultura musi być trochę inna, nie? Niemieckie, czeskie, austro-węgierskie, polskie oczywiście, wpływy. My nawet tego nie wiemy, jak to nas genotypicznie ukształtowało, ale – powtórzę to raz jeszcze - jesteśmy inni. Choćby to nasze przywiązanie do tej roboty. Żaden z nas nie robił na grubie, ale jest w nas - nawet sobie tego nie uświadamiamy - przywiązanie do tego, że trzeba być solidnym w tym, co robimy. Wspomnieliście panowie o „Tkoczach", którymi zgarnęliśmy cztery nagrody w Krakowie. Kiedy Majka Kleczewska – reżyserka tego spektaklu – przyjeżdża do nas, mówi mi: „Ty to masz tutaj niemiecki teatr!". „Czemu niemiecki?" - pytam. „Raz – że masz w nim ordnung, a dwa – bo robicie naraz trzy rzeczy i wszystko się zazębia. Gdyby to się w Polsce działo, to by się rozpieprzyło". No więc myślę, że my to po prostu mamy w genach i że potrafimy to w sobie pielęgnować: ten talent i tę inność, łącząc to z solidną robotą i dochodzeniem „step by step", krok po kroku do efektu w postaci sukcesu.

Czy dlatego tak się tej naszej śląskości boją? I czy my rzeczywiście chcemy autonomii?

- Nie, oczywiście że nie. Walka o język śląski nie oznacza, iż chcemy się oderwać od Polski, zrobić osobne państwo; że to „ukryta opcja niemiecka". Tak naprawdę to walka o pieniądze, bo jak będzie język śląski, to - jak na Kaszubach - będą pieniądze na przykład z Unii Europejskiej - na to, żeby go rozwijać, żeby się kształcić. Dlatego tak się zżymałem na „Świętą wojnę", która często pokazywała nas jak prymitywów: krupnioki, głupie dowcipy i tak dalej. Na szczęście teraz mamy Rokitę, mamy Twardocha .To jest jakościowo dobre, choć inne – dzięki czemu inspirujące. Jak ktoś z Polski w najbliższych latach dostanie Nobla, to tylko Twardoch. A dwa - jest jeszcze tradycja. Niby zanikająca, bo przecież kopalnie zamykają, ale Barbórki są dalej. I dalej jest jedna baba przez całe życie, a nie co chwila inna. I dalej jest ta modro kapusta... czyli przywiązanie do tradycji, która tak naprawdę w całej Europie się rozpada. U nas na Śląsku też, ale jednak wciąż u nas jest jej więcej niż w innych miejscach. To też „ich" - tych spoza Śląska, kręci. Mówiłem o nagrodach zgarniętych za „Tkoczy". To spektakl oparty na tekście XIX-wiecznym, niemieckiego noblisty Gerharda Hauptmanna, który został przetłumaczony na język śląski. I my to gramy po śląsku, przez dwie godziny z napisami po polsku. Dlaczego to jest za***iste? Bo jest – jak mówiłem – inne, ale to tylko dodatkowy walor. Bo oni patrzą na nas i widzą przede wszystkim noblistę jako autora; widzą spektakl, w którym wszyscy mówią po śląsku; widzą tkaczy w oryginale, ale można pod nich podłożyć górników, robotników – kogo tam kto chce. Widzą spektakl o buncie, który wszystkim dookoła – establishmentowi przede wszystkim; tym którzy rządzą – daje w ryj. Widzą to wszystko i... trochę się nas boją, a trochę nam zazdroszczą. Tej „inności".

A jak do tego dołożymy jeszcze mistrzostwo Polski Górnika za pół roku, to dopiero będzie gadka, że „na tym Śląsku to potrafią"!

- No wiecie, jakby Górnik zdobył tego majstra, to rzeczywiście będzie wydarzenie i to nie tylko u nas, na Śląsku!

Rozmawiali Zbigniew Cieńciała i Dariusz Leśnikowski

Sport fae895e8fe



Fot. PAP/EPA

Marc Bernal zdobył we wtorek dwie bramki, ale na wyeliminowanie Atletico to było za mało.

Niewiele brakowało

Barcelona nie awansowała do finału Pucharu Króla, ale pozostawiła po sobie fantastyczne wrażenie.

HISZPANIA

Czterobramkowa strata po pierwszej odsłonie dwumeczu jest czymś, co załamałoby większość zespołów na świecie. Jednak nie Barcelonę. Duma Katalonii w półfinale Pucharu Króla najpierw poległa w Madrycie z Atletico 0:4 i miała zamiar odwrócić losy rywalizacji przed własną publicznością. Marzenie ściętej głowy? Być może, ale ekipa Hansiego Flicka zrobiła wszystko co w jej mocy, że utrudnić życie Los Colchoneros.

Ostatecznie celu nie udało się osiągnąć, ale po występie Blaugrany, który zakończył się wynikiem 3:0, pozostały same dobre wspomnienia. W stolicy Katalonii nie użalają się nad swoim losem, nie mają zamiaru płakać z powodu braku awansu do finału pucharu. Środowisko klubu przekonało się, że jest to zespół, któremu niestraszne są żadne przeszkody. To drużyna, która jest gotowa nie tylko na mistrzostwo Hiszpanii, ale nawet na wygraną w Lidze Mistrzów.

– Czujemy smutek, to jasne, bo przecież graliśmy o trofeum, ale jeśli dalej będziemy tak grać, możemy zdobyć więcej tytułów. Musimy być z siebie dumni – powiedział defensor i kapitan drużyny Ronald Araujo. – Zagraliśmy świetnie, naprawdę niewiele brakowało – dodał Urugwajczyk.

Trudny teren

W podobnych słowach wypowiadał się opiekun Dumy Katalonii. – Wszyscy zagrali fantastycznie. Jestem bardzo dumny. Teraz musimy skupić się na codziennej pracy. Musimy się dobrze regenerować, bo gramy co trzy dni, a chcemy jeszcze zagrać wiele meczów w Lidze Mistrzów. Widzieliśmy dzisiaj jakość, ona jest w naszym zespole – przekazał niemiecki trener. Wysiłek Barcelony docenił też szkoleniowiec Atletico Diego Simeone. – Przyjechaliśmy na trudny teren. Pierwsza połowa była intensywna, nie mogliśmy grać tak, jak chcieliśmy, bo rywale nam na to nie pozwolili – stwierdził Argentyńczyk.

Maska dotarła

W rywalizacji z Los Colchoneros nie mógł wystąpić Robert Lewandowski, który w weekend doznał urazu – złamał kość oczodołu. Polak jednak już rozpoczął treningi z zespołem. Przygotowana została dla niego specjalna maska ochronna i w najbliższym starciu ligowym z Athletikiem Bilbao powinien być gotowy do gry. Problemy kadrowe Hansiego Flicka jednak się nie zakończyły, ponieważ we wtorkowy wieczór kontuzji doznali Alejandro Balde oraz Jules Kounde – obaj będą pauzować przez około 3-4 tygodnie.

Smutny dzień

Trudności spowodowane kontuzjami towarzyszą też największym przeciwnikom Barcelony w walce o pierwsze miejsce Primera Division. Real Madryt w poniedziałek mierzył się z Getafe, przegrywając 0:1. Okropnego urazu doznał Rodrygo. Brazylijczyk zerwał więzadła krzyżowe i do końca sezonu raczej nie zobaczymy go na murawie. Zagrożony jest też jego występ w mistrzostwach świata.

Otrzymał wsparcie od starszego kolegi, Neymara. „To jeden z najsmutniejszych dni. Cierpienie, udręka i strach przed tą kontuzją... Moja „dziesiątko", mój przyjacielu, mój spadkobierco (jak cię nazywam) – proszę cię, zadbaj o swoją głowę. Nadszedł czas, abyś zgromadził wokół siebie wszystkich, których kochasz. Nie zasłużyłeś na to, by teraz przez to przechodzić, ale kim jesteśmy, żeby wątpić w plany Boga? Młodszy bracie – bądź silny. Jestem pewien, że wrócisz. Będę tu dla ciebie, tak jak ty jesteś dla mnie" – napisał w mediach społecznościowych były gwiazdor Barcelony i PSG.

Co więcej, otoczenie Kyliana Mbappe sugeruje, że kolano Francuza jest w fatalnym stanie, a Real bagatelizuje jego problemy. Królewscy powinni szykować się na to, że ich siła ofensywna na ostatnim etapie sezonu znacząco się zmniejszy.

Kacper Janoszka

PÓŁFINAŁ PUCHARU KRÓLA

■ **FC Barcelona – Atletico Madryt 3:0 (2:0). W pierwszym meczu 0:4. Awans Atletico**
1:0 – Bernal (29), 2:0 – Raphinha (45+5), 3:0 – Bernal (72)

Do trzech derbów sztuka

Sytuacja Tottenhamu robi się dramatyczna i niewiele brakuje, aby jeden z największych angielskich klubów zsunął się do strefy spadkowej.

ANGLIA

Według różnych wycen Spurs mogą pochwalić się piątym najwięcej wartym składem Premier League, a piłkarze źle tam nie zarabiają. Cóż jednak z tego, skoro zdobywcy Ligi Europy mają coraz mniejszą przewagę nad strefą spadkową...

Znany wujek

Nie ma jednej przyczyny takiego stanu rzeczy. To szereg drobnych decyzji, które kumulują się jak kula śnieżna zepchnięta z wielkiego zbocza. W zeszłym sezonie – mimo europejskiego triumfu – już było źle. W końcu Londyńczycy skończyli na ostatnim bezpiecznym miejscu w tabeli, choć z ogromną przewagą nad spadkowiczami. Trener Ange Postecoglou nie wytrwał na posadzie, w której ratowaniu nie pomogła mu beznadziejna przez cały sezon sytuacja kadrowa Tottenhamu, boleśnie nadszarpywanego kontuzjami. Letnie transfery nie rzuciły na kolana, a koncepcje nowego szkoleniowca, Thomasa Franka, nie przyjęły się na gruncie zaproponowanym przez władze Spurs.

Rolę strażaka powierzono Igorowi Tudorowi, znanemu wujkowi Frana z Rakowa Częstochowa, ale zaczął od dwóch derbowych porażek – z Arsenalem 1:4 i z Fulham 1:2. Efektu nowej miotły nie doświadczyliśmy. Tottenham nie wygrał dziesięciu kolejnych spotkań w lidze, wyrównując swój rekord z lat 90. Szansę na przełamanie będzie miał w kolejnych derbach, dzisiejszych z Crystal Palace, które także ma problemy i ślizga się w dół tabeli. Terminarz Spurs nie jest taki zły. W ostatnich meczach z tych najsilniejszych ekip zostały im jeszcze Liverpool, Aston Villa i Chelsea – no ale tu nie ma co patrzeć. Tu trzeba punktować!

Brakuje Heung-min Sona

– Wierzymy w siebie, wierzymy w trenera, wierzymy w wykonywaną pracę. Wierzymy... we wszystko. Wiemy, że sytuacja ulegnie zmianie. Po prostu musimy znaleźć sposób, aby to osiągnąć, bo mamy wszystko, co potrzebne – zdradził jakże prostą receptę na sukces pomocnik Yves Bissouma. Ale coś powiedzieć musiał, a na pewno nie mógł zdradzić, że w szatni drużyny nie dzieje się najlepiej. To z kolei węszą angielskie media, wskazując, że gdy latem do Los Angeles odszedł Koreańczyk Heung-min Son, w zespole pojawił się kryzys przywództwa. A Tottenham ma jedną z młodszych kadr w Premier League, co w tym kontekście nie pomaga. Nie pomaga też fakt, że nowy kapitan, Argentyńczyk Cristian Romero, jest postacią porywczą i emocjonalną. Spójność została zachwiana.

Bez Levy'ego trudniej

Na swoje „szczęście" klub na wypadek spadku... jest częściowo zabezpieczony. David Ornstein z The Athletic zdradził, że jeśli londyńska ekipa zsunie się do Championship, większość kontraktów w zespole czekają drastyczne obniżki – niektóre ponad 50 procent. Jest też jednak negatywny aspekt finansowy, który nie wynika tylko z faktu samego spadku i utraty gigantycznych przychodów z praw telewizyjnych.

Okazuje się bowiem, że słabe wyniki Spurs sprowokowały czołowych sponsorów do wycofania się ze wspierania klubu. Ci mieli znakomite relacje z byłym prezesem Tottenhamu, Danielem Levym, który po 25 latach przestał pełnić tę funkcję we wrześniu. Anglik o żydowskim rodowodzie był krytykowany przez kibiców za stricte sportowe zarządzanie klubem, ale w kwestiach finansowych był top. Bez niego Tottenham nadal słabo radzi sobie sportowo, a teraz również... i finansowo.

Piotr Tubacki

Czwartek: Tottenham – Crystal Palace (21.00)
■ **Bournemouth – Brentford 0:0**
■ **Everton – Burnley 2:0 (1:0)**
1:0 – Tarkowski (32), 2:0 – Dewsburry -Hall (60)
■ **Leeds – Sunderland 0:1 (0:0)**
0:1 – Diarra (70)
■ **Wolverhampton Wanderers – Liverpool 2:1 (0:0)**
1:0 – R. Gomes (78), 1:1 – Salah (83), 2:1 – Andre (90+4)
Środowe mecze zakończone po zamknięciu wydania.



Fot. Max Tomlinson/FocusImages/MB Media/PressFocus

Obrońca Cristian Romero to jeden z najskuteczniejszych piłkarzy Spurs, choć jako kapitan... sprawdza się jako tako.

PORTUGALIA

KONTUZJA BEDNARKA

■ We wtorek FC Porto przegrało 0:1 ze Sportingiem w ramach półfinału Pucharu Portugalii. W tym spotkaniu kontuzji żebra doznał defensor Jan Bednarek. Reprezentant Polski zderzył się z golkiperem Smoków Diogo Costą po tym, jak został pchnięty przez napastnika rywali Luisa Suareza. Zaraz po meczu trener Porto Francesco Farioli był zły z powodu tego, że musiał zmienić polskiego obrońcę, ale nie był pewien, jak długo potrwa jego przerwa od gry. W środę klub wydał oficjalny komunikat potwierdzający uraz, ale nie przekazano, jak długo Polak będzie pauzował. Według nieoficjalnych informacji udział Bednarka w barażach o udział w mistrzostwach świata nie jest zagrożony.

PRAWIE PÓŁ MILIONA

■ FC Porto oficjalnie poinformowało o prowizji menedżerskiej, jaką zainkasował agent Oskara Pietuszewskiego Mariusz Piekarski, za transfer z Jagiellonii do Smoków. Znany menedżer otrzymał 400 tysięcy euro. Przy okazji potwierdzona została kwota, za jaką skrzydłowy został kupiony – 10 milionów euro.

(kaj)

Sport fae895e8fe

Boiskowe chamstwo, policja w grze

Siódmy Puchar Rimeta obfitował w wiele pozafutbolowych wątków, niestety, niezbyt pozytywnych.

Już samo przyznanie Chile organizacji kolejnych futbolowych mistrzostw świata było ciekawe. Kraje Ameryki Południowej zagroziły, że jeżeli po dwóch turniejach w Europie – Szwajcaria 1954, Szwecja 1958 – kolejne mistrzostwa nie odbędą się na ich kontynencie, to tak jak w 1938 zbojkotują imprezę.

Lepsi od Argentyny

Wydawało się, że siódmy Puchar Rimeta - bo wciąż taka obowiązywała nazwa piłkarskiego czempionatu globu, nawiązująca do legendarnego szefa FIFA Julesa Rimeta, pomysłodawcy całego przedsięwzięcia - odbędzie się na stadionach Argentyny. Na kongresie futbolowych władz w lipcu 1956 roku w Lizbonie przedstawiciele tego kraju podkreślali, że turniej u nich może się rozpocząć nawet jutro. Wówczas Argentyna miała wszystko i stadiony, i zaplecze. FIFA jednak optowała za biedniejszym Chile. Podczas głosowania kraj ten otrzymał 31 głosów, Argentyna tylko 10. Trzynastu oficjeli wstrzymało się od głosowania. Tym samym to Chile zostało trzecim, po Urugwaju i Brazylii, krajem z Ameryki Południowej, który organizował piłkarski Puchar Rimeta.

Dygresja - w Chile miało się też odbyć jedno z pierwszych spotkań XXIV mistrzostw świata, kolejnego mundialu w 2030, w roku stulecia pierwszego czempionatu. Turniej za cztery lata ma się rozpocząć na stadionach w Urugwaju, Argentynie i Paragwaju, po czym wszyscy przeniosą się do Hiszpanii, Portugalii oraz Maroka. Tym razem Chile odpadło. Na pocieszenie, we wrześniu i październiku zeszłego roku zorganizowało u siebie MŚ do lat 20, gdzie niespodziewanie triumfowało Maroko przed Argentyńczykami.

Garstka ludzi na trybunach

Wracając do turnieju w Chile sprzed ponad 60 lat - wcale nie było pewne, że uda się go zorganizować. 22 maja 1960 kraj nawiedziło jedno z najsilniejszych trzęsień ziemi na świecie, miało siłę 9,6 st. w skali Richtera. Po nim nastąpiło tsunami. Ucierpiało ponad 50 tys. osób, miliony straciły dach nad głową… Miasta takie, jak Concepcion, Talcahuano, Valdivia, Talca nie były w stanie gościć finalistów, ucierpiały najbardziej.

W tej sytuacji turniej odbywał się tylko na czterech stadionach, w czterech miastach z ośmiu przewidzianych. Oczywiście w stolicy kraju Santiago rozegrano najwięcej, bo 10 ze wszystkich 32 meczów. Osiem gier odbyło się w Vina del Mar. Grano też na małych, 17-18 tys. stadionach w Rancagua, gdzie miejscowy Estadio Bradden Copper należał do amerykańskiej firmy zajmującej się wydobyciem miedzi i w północnej Arica. Nierzadko mecze oglądało po ledwie kilka tysięcy widzów, jak półfinał Czechosłowacja – Jugosławia, który na Estadio Sausalito w Vina del Mar zgromadził niewiele ponad 5 tysięcy fanów!

Dziennikarski najazd

Tym razem, w przeciwieństwie do 1954 i 1958 roku, „Sport" nie wysłał swojego przedstawiciela na turniej. To był drogi wyjazd – jak zresztą na każde mistrzostwa świata. Nasza gazeta posiłkowała się agencyjnymi depeszami Polskiej Agencji Prasowej, a także rosyjskiej TASS. Pozy tym mieliśmy już do czynienia z telewizyjnym przekazem (choć nie u nas).

Przed startem imprezy 30 maja 1962 nasza gazeta donosiła o zlocie dziennikarzy w Chile. Siódmy Puchar Rimeta relacjonowało 900 dziennikarzy z 40 krajów. Z samego Chile było ćwierć tysiąca żurnalistów, z Brazylii 170, z sąsiedniej Argentyny 140. Z Europy najwięcej było Niemców (oczywiście mówimy o RFN), bo 60. Dla radia i telewizji, jak donosił „Sport" pod koniec maja 1962, „pracować będzie ok. 200 sprawozdawców, obsługujących stacje 36 krajów. Najsilniejszą ekipę przysyła Eurowizja, łącznie ze skomplikowanym sprzętem".

Na stadionach był zakaz wnoszenia jakichkolwiek kamer. Mogli je mieć tylko ci z uprawnieniami. Publikowanie filmów było srogo zabronione i tak jest do dziś, o czym przekonałem się sam niespełna cztery lata temu, kiedy krótki, nagrany filmik z meczu Argentyna – Australia w 1/8 MŚ w Katarze, FIFA na profilu facebookowym zablokowała.

Ogromne środku dla „Cariocas"

„Sport" w zapowiedzi imprezy słusznie zauważył, że mistrzem będzie ten, kto pokona Brazylię, która zainwestowała potężne środki w obronę tytułu najlepszej reprezentacji świata. „Już na rok przed rozpoczęciem turnieju chilijskiego do dyspozycji „Cariocas" stały nieograniczone możliwości finansowe" – pisał „Sport".



Fot. „Historia do Futebol" – Almeida Castro

Mistrzowie świata 1962. Górny rząd, od lewej: Djalma Santos, Zito, bramkarz Gilmar, Nilton Santos, Zozimo, Mauro. Klęczą (od lewej): masażysta Amerigo, Garrincha, Didi, Vava, Amarildo, Zagallo.

KORESPONDENCI „SPORTU" NA MŚ

1950, Brazylia: -
1954, Szwajcaria: Tadeusz Bagier
1958, Szwecja: Tadeusz Maliszewski vel Narcyz Suessermann
1962, Chile: -

„Turniej w Chile będzie na pewno jednym z najbardziej interesujących jakie dotychczas przeżywaliśmy. Po raz pierwszy Europa wybrała się w tak wielkiej sile na drugą półkulę i ożywiona jest ambicją pobicia przeciwnika na jego własnym terenie. Jest to o tyle trudne, że teren chilijski i jego klimat najmniej nadają się do realizacji tak wzniosłych celów. Trudności obiektywne mogą okazać się silniejsze, niż rzeczywiste umiejętności poszczególnych zespołów. Ale i o tym przekona nas wielka batalia, której przebieg będziemy bacznie obserwowali z żalem, że po jej zakończeniu nie będziemy mogli zawołać: i ja tam byłem, miód i wino piłem" – czytaliśmy komentarz w dniu pierwszego dnia mistrzostw Tadeusz Maliszewskiego, jednego z wielkich piór „Sportu" w latach 50. i 60, który relacjonował dla katowickiego dziennika turniej z boisk Szwecji cztery lata wcześniej.

Haniebny pokaz

Sam turniej? Było wiele ciekawych momentów. Niestety dla piłki, w drugim grupowym meczu z Czechosłowacją, który skończył się bezbramkowym remisem, mięśniowej kontuzji doznał Pele. Nie było wtedy zmian. Późniejszy król futbolu, trzykrotny mistrz świata, ustawił się na lewym ataku i tam kuśtykał. W pewnym momencie piłka trafiła do niego, do Pele podbiegł lider reprezentacji naszych południowych sąsiadów i jedna z gwiazd VII MŚ Josef Masopust. Zorientowawszy się, że rywal ma kłopot, odpuścił, za to otrzymał brawa od kibiców na stadionie w Vina del Mar.

Były jednak niestety przypadki nagannych zdarzeń. Choć arbitrzy nie mieli jeszcze do swojej dyspozycji czerwonych i żółtych kartek - te zaczęły obowiązywać dopiero od MŚ 1970 w Meksyku - to aż sześciu graczy karnie musiało opuścić boisko za swoje zachowanie. Nie wszyscy chcieli się do tego dostosować, a do historii przeszły wydarzenia z grupowego meczu pomiędzy gospodarzami Chile a Włochami rozegranego 2 czerwca.

To spotkanie przeszło do historii jako „Battaglia di Santiago", czyli bitwa o Santiago. Jeszcze przed meczem gazety obu krajów wylewały na siebie ścieki. Dla Włochów Santiago było zapadliskiem „gdzie telefony nie działają, a taksówki są tak rzadkie jak wierni mężowie". Dla Chilijczyków Włosi byli faszystami, mafiosami i narkomanami. Nic dziwnego, że mecz przerodził się w jatkę. Italia kończyła w dziewiątkę, bo angielski arbiter Ken Aston najpierw usunął z boiska Giorgio Ferriniego, a potem Mario Davida. Ten pierwszy nie chciał zejść, po czym na murawę weszła policja i siłą zmusiła włoskiego defensora do opuszczenia boiska! Leonel Sanchez złamał nos sierpowym Humberto Maschio, a potem uderzył jeszcze Davida, ale... dograł do końca! Komentator sportowy BBC David Coleman przedstawił mecz jako „najbardziej głupi, odrażający, obrzydliwy i haniebny pokaz piłki nożnej, być może w historii tej gry". Chile wygrało 2:0, skończyło potem na historycznym dla siebie 3. miejscu, po pokonaniu w meczu o brąz Jugosławii. Italia? Po grupowych meczach z trzema punktami wróciła do domu.

Prymat Brazylii

W ogóle podczas turnieju w Chile aż sześciu graczy zostało karnie usuniętych z boiska. Wśród nich był nawet gwiazdor Garrincha, jeden z najlepszych graczy w historii futbolu, czarujący kibiców jednym, niepowtarzalnym, ale skutecznym zwodem. Mane karnie musiał opuścić boisko w półfinałowym meczu z Chile (4:2), gdzie sam zresztą dwa razy trafił do siatki. Nie był pewny gry w finale z Czechosłowacją 17 czerwca 1962 nie tylko w powodu karnego usunięcia w półfinale za faul na Eladio Rojasie, ale też ze względu na rozbitą głowę. Został trafiony kamieniem przez jednego z rozwścieczonych kibiców gospodarzy… W finale z Czechosłowacją zagrał i po raz drugi z kolegami został bi-campeone. „3:1 (1:1) nad CSRS prolonguje prymat Brazylii" – pisał „Sport" na pierwszej stronie w poniedziałek 18 czerwca 1962 roku.

Michał Zichlarz



Fot. Wikipedia.en

Obrońca Italii Giorgio Ferrini odmawia opuszczenia boiska. Z prawej angielski sędzia Ken Aston, który wprowadził do futbolu kilka lat później kartki.

Sport fae895e8fe



Fot. PAP/Adam Warżawa

Tak euforyczną Ewę Pajor chcielibyśmy oglądać w każdym meczu.

Duma i niedosyt

Dziewczyny walczyły do końca i pokazały siłę, która drzemie w drużynie - podsumowała remis z Holenderkami selekcjonerka Biało-czerwonych Nina Patalon.

REPREZENTACJA KOBIET

Po inauguracyjnej kolejce eliminacji mistrzostw świata 2027 nasze panie zajmują 2. miejsce w tabeli grupy 2, dzieląc je z Holenderkami, z którymi we wtorek w Gdańsku zremisowały 2:2. Liderująca Francja musiała się nieźle natrudzić, by wywieźć komplet punktów z Dublina - od 12 minuty przegrywała 0:1, by po zmianie stron zdobyć dwie bramki i wywiązać się z roli faworyta.

Klasa Pajor

Za faworytki uchodziły też Holenderki, z którymi Polkom w ostatnim czasie przychodzi się potykać nader często. 24 października oba zespoły zagrały towarzysko również w Gdańsku, remisując 0:0. To był solidny sprawdzian dla naszego zespołu, bo musiał sobie radzić bez kontuzjowanej Ewy Pajor i udowodnił, że istnieje bez niej życie. Napastniczki Barcelony zabrakło również w kolejnych starciach - z Walią (5:2) i Łotwą (3:0), ale na mecz ze Słowenią (1:0) wybiegła.

Podobnie było we wtorek, kiedy nasza najlepsza piłkarka wyprowadziła koleżanki na płytę boiska. Jej kiepski - by nie powiedzieć fatalny - stan, nie przeszkodził jej jednak w dawaniu z siebie maksa. 30-latka kolejny raz pokazała klasę, a akcję, po której otworzyła wynik, można oglądać w nieskończoność. Podobnie zresztą jak tę poprzedzającą bramkę Pauliny Tomasiak, dającą remis, bo w niej również Ewa „maczała palce".

6
MECZÓW
bez porażki ma za sobą reprezentacja kobiet; 4 z nich wygrała.

Różnicę robią detale

- Ewelina Kamczyk bardzo mocno szła do końca i pojawiła się myśl, żeby jej podać, jednak zobaczyłam, że obrończyni zrobiła krok do niej i w tym momencie postanowiłam uderzyć na bramkę - opisywała kapitalne trafienie w „okienko" kapitan reprezentacji. - Drugi gol to gra kombinacyjna, która funkcjonuje u nas coraz lepiej. Chcemy grać nie tylko z kontry, co jest naszą silną stroną i korzystać z tego w każdym meczu, ale również pokazywać, że potrafimy wymienić kilka podań na niewielkiej przestrzeni - dodała Pajor, dostrzegając stały postęp w grze narodowego zespołu. - Jesteśmy dumne z tego punktu, ale czujemy też niedosyt, bo miałyśmy sytuacje na zwycięstwo. Trzeba jednak pamiętać, że Holenderki również je stworzyły. Nasza defensywa i to, jak razem bardzo mocno broniłyśmy, przyniosło efekt. Straciłyśmy bramki po stałym fragmencie i po strzale z dystansu, jednak te eliminacje właśnie tak będą wyglądać. Grając w dywizji A, przychodzi nam rywalizować z bardzo silnymi zespołami, a w takich spotkaniach detale robią różnicę. Nie mamy sobie jednak nic do zarzucenia. Zrobiłyśmy postęp w aspekcie taktycznym, motorycznym i mentalnym. Wierzymy w siebie, jesteśmy jednością i wspieramy się nawet po straconej bramce. Wiemy też, na czym się skupić, aby ją odrobić. To efekt pracy całego zespołu i sztabu - oceniła zawodniczka, która w 105. meczu w koszulce z orzełkiem zdobyła 69. bramkę.

Krok do przodu

Zadowolenia z remisu z 11. zespołem rankingu FIFA (Polska jest 24.) nie kryła selekcjonerka Nina Patalon. - Dziękuję za zaangażowanie, które nie zawsze pojawi się, kiedy tracisz bramkę do szatni, wychodzisz z niej i dostajesz drugą. Było bardzo ciężko, ale podniosłyśmy się i byłyśmy w stanie wyrównać. Dziewczyny walczyły do końca, pokazały drzemiącą w nich siłę. Widać, że jako zespół zrobiłyśmy duży krok do przodu - stwierdziła trenerka. - Od początku do końca realizowałyśmy założenia. Trzeba było zagrać na maksa i wytrzymać ciśnienie. Wynik nam się nie układał, ale wygrała dyscyplina, a nie emocje, którymi potrafiłyśmy zarządzać - podkreśliła Patalon, licząc, że w sobotnim (start o godzinie 21.10) meczu z Francuzkami w Dijon będzie podobnie.

Marek Hajkowski

Niemożliwe

Norweżki - mistrzynie olimpijskie, świata i Europy - staną dziś w Lubinie naprzeciw zespołu prowadzonego przez ich rodaka. - Przekonamy się, na jakim poziomie jesteśmy - powiedział Arne Senstad.

EHF EURO CUP

Ponad trzy miesiące po mistrzostwach świata w Holandii i Niemczech kobieca reprezentacja Polski wraca do rywalizacji o stawkę. W czwartek i sobotę jej rywalkami będzie Norwegia, czyli bezwzględnie najlepszy zespół świata. W ostatnim okresie ekipa ze Skandynawii wygrała kolejno igrzyska olimpijskie, mistrzostwa Europy i mistrzostwa świata.

Wyciągnąć ile się da

Teraz ma chrapkę na triumf w nowych zmaganiach, jaką jest EHF Euro Cup. To cykl meczów, które towarzyszą eliminacjom do grudniowego Euro. Biorą w nim udział jego organizatorzy (Turcja, Czechy, Słowacja, Rumunia, Polska) oraz medaliści ostatniego czempionatu (Norwegia, Dania, Węgry), których podzielono na dwie grupy. Do wrześniowego turnieju finałowego awansują po dwa najlepsze zespoły.

Norweżki liderują grupie A, bo w październiku pokonały Rumunki i Słowaczki. Czy dziś w Lubinie i w sobotę w Steinkjer sięgną po kolejne zwycięstwa? Każdy inny wynik trzeba będzie rozpatrywać w kategorii sensacji. - Cieszę się, że dostaniemy szansę zmierzenia się z rywalem z najwyższej półki. Wiem, że moje rodaczki wystąpią w najmocniejszym składzie, więc naprzeciw nas staną topowe zawodniczki. To będą dla nas trudne spotkania, ale mogą nam dużo dać. Wyniki mogą okazać się niekorzystne, ale jak przekonaliśmy się już wiele razy, tylko walcząc z takimi zespołami, ze stuprocentowym zaangażowaniem, możemy przekonać się, na jakim poziomie jesteśmy. Chcemy dać z siebie wszystko i wyciągnąć z tych spotkań, ile się da. Myślę, że to będzie też bardzo dobra okazja dla polskich kibiców, aby zobaczyć, jak poradzimy sobie w starciu z najlepszymi - powiedział Arne Senstad, norweski selekcjoner Biało-czerwonych.

Loke już czeka

Żeby potwierdzić jego słowa, rzucamy okiem na kadrę przeciwniczek. Trener Ole Gustav Gjekstad nie uznaje półśrodków, więc zdecydował się powołać niemal wszystkie czołowe piłkarki. Liderką norweskiej kadry jest lewa rozgrywająca Henny Reistad, trzy razy z rzędu (2023, 2024, 2025) uznawana za najlepszą zawodniczkę globu, która podczas ostatniego mundialu zdobyła 55 bramek, sięgając po koronę królowej strzelczyń i tytuł MVP. Prawe skrzydło obstawi Anniken Wollik, a środek rozegrania doświadczona Nora Mork. Zabraknie tylko legendarnej bramkarki Katrine Lunde, ale Eli Raasok i June Krogh również stanowią gwarancję wysokiego poziomu.

Z wieloma reprezentantkami z pewnością serdecznie wyściska się ich rodaczka, Heidi Loke. Jedna z najbardziej utytułowanych szczypiornistek świata, złota i brązowa medalistka olimpijska, dwukrotna mistrzyni świata i czterokrotna mistrzyni Europy, od blisko roku asystuje Senstadowi, koncentrując się głównie na pracy z obrotowymi. Na trwającym od niedzieli zgrupowaniu są aż cztery zawodniczki grające na jej pozycji.

- Wciąż szukam sposobów na poprawę poziomu kadry, stąd chęć sprawdzenia zawodniczek, mogących jej dać coś nowego. Miejsce w kadrze zawsze powinno wiązać się z dużą rywalizacją i być wielką dumą dla zawodniczek. Ostatnio pojawiło się kilka młodych, interesujących dziewcząt, którym chcę dać szansę, zachowując przy tym trzon drużyny złożony z liderek - dodał Arne Senstad.

10
DNI
trwała sprzedaż biletów na czwartkowy mecz Polska - Norwegia. Nabywców znalazły wszystkie wejściówki, a to znaczy, że na trybunach zasiądzie 3714 osób. Będzie to szósty występ Biało-czerwonych w lubińskiej Hali RCS.

53
RAZY
mierzyły się dotąd oba zespoły. Polki triumfowały w 17 spotkaniach, 4-krotnie zanotowano remis, a 32 razy zwyciężyły Norweżki.

Pięć debiutantek

Mówiąc o liderkach, miał na myśli Karolinę Kochaniak, która ze względów prywatnych nie uczestniczy w zgrupowaniu. W jej miejsce powołana została Marcelina Polańska, jedna z pięciu debiutantek. Pozostałe to: Oliwia Kuriata, Wiktoria Kostuch, Oliwia Domagalska, Paulina Kuźmińska; Kostuch i Kuźmińska zastąpiły Żanetę Lipok i Katarzynę Cygan.

- W porównaniu do mistrzostw świata nie ma zbyt wielu zmian. Żadna zawodniczka nie straciła szans na dalsze występy. Co więcej, cieszę się, że po turnieju zawodniczki nadal są bardzo zmotywowane do gry w kadrze i chcą walczyć o miejsce w składzie na tegoroczne Euro - podkreślił selekcjoner, który nasz zespół prowadzi od sierpnia 2019 roku i przeciwko Norwegii grał trzykrotnie, za każdym razem przegrywając.

CZY WIESZ, ŻE...

■ Zanim portugalscy sędziowie rozpoczną mecz, na antenie Polsatu Sport 1 odbędzie się losowanie par półfinałowych Pucharu Polski mężczyzn. Awans do niego uzyskały: Orlen Wisła Płock, Industria Kielce (obrońca trofeum), Netland MKS Kalisz i PGE Wybrzeże Gdańsk. Na tym etapie zmagań nie przewiduje się rozstawień, więc każdy może zagrać z każdym, ale czujemy przez skórę, że ekipy z Płocka i Kielc na siebie nie trafią. Turniej Final Four Pucharu Polski odbędzie się 18-19 kwietnia w Kaliszu.

Sport fae895e8fe

nie istnieje?

Polska - Norwegia

czwartek, godz. 18.00; transmisja - Polsat Sport 1



Fot. Łukasz Laskowski/PressFocus

Żeby myśleć o utarciu nosa najlepszej drużynie globu, Biało-czerwone muszą być maksymalnie zmobilizowane.

Najbliżej pokonania rodaczek był podczas turnieju towarzyskiego przed mistrzostwami świata 2023 (25:27). Do ostatniego spotkania doszło natomiast 8 marca zeszłego roku, kiedy Skandynawki zwyciężyły 32:28. Tamten mecz pamięta 10 uczestniczek obecnego zgrupowania, a najlepiej Magda Balsam, autorka 7 bramek. - W takich meczach zawsze skupiamy się na tym, żeby popełnić jak najmniej błędów, bo wiemy, że rywalki mają z nich łatwe kontrataki. Wszyscy wiemy, że w hierarchii jesteśmy niżej od nich, więc to na nich ciąży obowiązek zwycięstwa. Nam z perspektywy sprawienia niespodzianki gra się niekiedy łatwiej - zauważyła lewoskrzydłowa i oby jej słowa przerodziły się w czyn.

Marek Hajkowski

GRUPA A

1. Norwegia	2	4	60:46
2. Rumunia	2	2	61:58
3. Polska	2	2	57:54
4. Słowacja	2	0	39:59

Mecze rozegrane: Norwegia - Rumunia 29:27, Polska - Słowacja 28:20, Słowacja - Norwegia 19:31, Rumunia - Polska 34:29.

KADRA NA NORWEGIĘ

Bramkarki: Adrianna Płaczek (DVSC Schaeffler/Węgry), Paulina Wdowiak (MKS Lublin), Barbara Zima (Zagłębie Lubin); **skrzydłowe**: Magda Balsam (CSM Slatina/Rumunia), Natalia Janas (Zagłębie), Wiktoria Kostuch (KPR Kobierzyce), Daria Michalak (HC Dunarea Braila/Rumunia); **rozgrywające**: Oliwia Domagalska (MKS Piotrcovia), Monika Kobylińska (S.C. Gloria Bistrita/Rumunia), Paulina Kuźmińska (Start Elbląg), Natalia Nosek (SCM Universitatea Craiova/Rumunia), Marcelina Polańska (Piotrcovia), Aleksandra Rosiak (Lublin), Paulina Uścinowicz (Sport-Union Neckarsulm/Niemcy); **obrotowe**: Oliwia Kuriata (MKS Gniezno), Patrycja Noga (Piotrcovia), Aleksandra Olek (HC Podravka Koprivnica/Chorwacja), Natalia Pankowska (Piotrcovia).

Bez słabych punktów

Polskie zespoły nie mają zamiaru się zatrzymywać. Zarówno ten z Kielc, jak i ten z Płocka odnieśli efektowne zwycięstwa.

LIGA MISTRZÓW

To dla nas najważniejszy mecz sezonu. Chcąc zdobyć 2 punkty, musimy zaliczyć kompletny występ - mówił przed wizytą Sportingu Lizbona trener Industrii, Tałant Dujszebajew. Doceniał klasę rywali, zwłaszcza braci Martima i Francisco Costa, którymi z ławki sterował ojciec, Ricardo. Chcąc wygrać w Hali Legionów, trzeba dysponować szerszym i bardziej wyrównanym składem, a taki posiadali Kielczanie. Owszem, obstawiający boki rozegrania świetni bracia zdobyli 16 bramek, ale brakowało im wsparcia. Miejscowi natomiast tworzyli kolektyw i dzięki wygranej awansowali na 3. miejsce w tabeli grupy A, które będą chcieli utrzymać za tydzień w Kolstad.

Nafciarze z kolei już przed tygodniem zagwarantowali sobie 3. pozycję w grupie B, więc do Zagrzebia mogli pojechać juniorami. Trener Xavier Sabate półśrodków nie uznaje i na mecz z outsiderem zabrał optymalny skład. Wymagał od niego walki na całego. Gospodarze jedynie przez 10 minut dotrzymywali kroku Płocczanom, bo potem „włączył się" bramkarz Mirko Alilović, nakręcając kolegów do powiększania przewagi. Po 40 minutach Wisła prowadziła 22:13 i mogła spokojnie kontrolować spotkanie, po którym umocnił się na podium i czeka na rywala w 1/8 finału. W najbliższą środę - na zakończenie fazy grupowej - podejmie OTB Bank-Pick Szeged.

■ **Industria Kielce - Sporting Lizbona 39:33 (20:16)**

KIELCE: Ferlin, Morawski - Moryto 3, Maqueda 3, Vlah 4/1, Karalek 2, Sićko 9, Nahi 5, Olejniczak 1, Jarosiewicz 5/2, Monar 3, D. Dujszebajew 2, Konkoud 2, Latosiński, Jędraszczyk, Rogulski. Kary: 6 min. Trener Tałant DUJSZEBAJEW.

LIZBONA: Aly, Kristensen - Gassama, F. Costa 6/3, Gurri 5, Salvador 4, M. Costa 10, Branquinho, Silva 3, Alvarez 4/1, Berlin, Martinez, Moga (CZK, 50 min - faul), Romero, Monteiro, Borkelsson 1. Kary: 12 min. Ricardo COSTA.

Sędziowali: Kursad Erdogan i Ibrahim Ozdeniz (Turcja). Widzów 3500.

■ **HC Zagrzeb - Orlen Wisła Płock 26:34 (11:17)**

ZAGRZEB: Mestrić, Suljević - Klarica 4, Gojun, Czovrebadze 6/2, Cavar, Karacić 4, Dodić, Topic, Gavrić 3, Palović, Bialiauski 4/1, Glavas 3/1, Trivković 2, Walczak, Sadouski. Kary: 10 min. Trener Boris DVORSZEK.

PŁOCK: Alilović, Bergerud - Krajewski 3, Daszek 2, Zarabec, Serdio 3, Janc 3, Mihić 6, Susnja 1, Richardson 8/4, Fazekas 1, Ilić 3, Kosorotow 4, Szita, Sroczyk, Szyszko. Kary: 4 min. Trener Xavier SABATE.

Sędziowali: Lars Jorum i Havard Klaven (Norwegia). Widzów 2200.

Marek Hajkowski

PREZES ZAPRASZA MINISTRA...

OLIMPIZM

■ Prezes Polskiego Komitetu Olimpijskiego Radosław Piesiewicz zaprosił ministra sportu Jakuba Rutnickiego na spotkanie w sprawie organizacji w przyszłości igrzysk. Polska planuje starania o prawa gospodarza najważniejszej letniej imprezy czterolecia w 2036, 2040 lub 2044 roku. W liście do szefa resortu, który Piesiewcz opublikował na portalu X, prezes PKOl przypomniał, że w trakcie zimowej olimpiady Mediolan-Cortina d'Ampezzo spotkał się wraz z prezydentem Karolem Nawrockim z przewodniczącą MKOl Kirsty Coventry, która z „życzliwym nastawieniem i zainteresowaniem" zareagowała na wstępną ofertę Polski. „Jeśli myślimy poważnie o organizacji igrzysk, czas na działanie ponad podziałami, aby igrzyska w Polsce były świętem sportu bez polityki. Liczę, że po otrzymaniu poniższego listu otrzymam pozytywną odpowiedź i dojdzie do spotkania" - dodał Piesiewicz we wpisie.

W czerwcu 2025 resort sportu podpisał umowę na opracowanie „Strategii Rozwoju Sportu - IO Warszawa 2040", która powinna wejść w życie w tym roku. Finałowym elementem tej „mapy drogowej" ma być wystąpienie do MKOl o organizację największej sportowej imprezy świata. MKOl kolejnych gospodarzy igrzysk wyłoni w lipcu 2028 roku. **(PAP)**

JANUSZYK PIĄTA W SPRINCIE

SKIALPINIZM

■ Iwona Januszyk zajęła piąte miejsce w sprincie podczas mistrzostw Europy, które odbywają się w narciarskim kurorcie Shahdag w Azerbejdżanie. Zwyciężyła Marianne Fatton. W finale Szwajcarka, tegoroczna mistrzyni olimpijska, wyprzedziła o równo sekundę Włoszkę Giulię Murade oraz o 9,1 s Niemkę Tatjanę Paller. Czwarta, ze stratą 12,8 s, była rodaczka zwyciężczyni Caroline Ulrich, a Januszyk była wolniejsza od Fatton o 23 s. Anna Majerczyk odpadła w półfinale, a Claudia Chmielowska - w kwalifikacjach.

Wśród mężczyzn najlepszy okazał się startujący w neutralnych barwach Rosjanin Nikita Filippow, który w igrzyskach sięgnął po srebro. W finale okazał się szybszy o 1,2 s od Szwajcara Thomasa Bussarda oraz o 1,6 s od Hiszpana Ota Ferrera Martineza.

Skialpinizm w tym roku zadebiutował w programie igrzysk olimpijskich. Zawody składają się z podbiegu pod górę oraz zjeździe z niej na nartach. We Włoszech Polskę reprezentowali Januszyk i Elantkowski, którzy odpadli w kwalifikacjach sprintu, a w sztafecie mieszanej zajęli dziewiąte miejsce na 12 par.

NIEMCY TEŻ BOJKOTUJĄ

PARALIMPIADA

■ Niemieccy sportowcy nie wezmą udziału w przemarszu reprezentacji podczas piątkowej ceremonii otwarcia igrzysk paralimpijskich we Włoszech, aby wyrazić solidarność z Ukrainą – poinformował w środę Niemiecki Komitet Paraolimpijski. Wcześniej uroczystość zbojkotowało osiem krajów, w tym Polska. Bojkot wynika z tego, że w ceremonii wezmą udział reprezentacje Rosji i Białorusi. Wśród ponad 600 zgłoszonych zawodników dziesięciu pochodzi z państw agresorów. We wrześniu 2025 roku zawieszono sankcje nałożone na komitety paralimpijskie obu tych krajów.

PORAŻKA BEZ KONSEKWENCJI

HOKEJ NA TRAWIE

■ Polscy hokeiści na trawie przegrali w Santiago z Irlandią 1:4 (0:2) w ostatnim meczu fazy grupowej turnieju kwalifikacyjnego do tegorocznych mistrzostw świata. Zespół Dariusza Rachwalskiego już wcześniej zapewnił sobie udział w półfinale, wygrywając wcześniej z Koreą Południową 3:2 oraz Kanadą 2:1. Stawką pojedynku z Irlandią była pierwsza lokata w grupie B. Rywale, uczestnicy igrzysk olimpijskich w Paryżu, są jednym z głównych faworytów turnieju. W piątkowym półfinale Polacy zmierzą się ze zwycięzcą grupy A, gdzie trwa jeszcze rywalizacja. Potencjalni przeciwnicy to Szkocja, Francja lub Chile.

Przepustki na mundial, który odbędzie się w drugiej połowie sierpnia w Belgii i Holandii, wywalczą po trzy najlepsze reprezentacje z zawodów w Chile i równolegle rozgrywanych w Egipcie. Ostatnią kwalifikację uzyska czwarty zespół z jednego z tych turniejów, który będzie wyżej sklasyfikowany w międzynarodowym rankingu, ale Biało-czerwoni (20. miejsce) nie mogą z tej ścieżki na to liczyć. Polacy po raz ostatni w MŚ wystąpili w 2002 roku.

Sport fae895e8fe

Sezon pełen zwrotów

Za nami faza zasadnicza w kobiecej ekstraklasie – wyjątkowo nietypowa, która wywróciła przedsezonowe prognozy do góry nogami.

ORLEN BASKET LIGA KOBIET



Fot. PressFocus

Matea Tadić, Catherine Reese, Sydney Taylor. Tego tercetu Zagłębiu zazdroszczą inne kluby.

Głównym zaskoczeniem jest pozycja aktualnego mistrza kraju. VBW Gdynia wydawało się jednym z głównych faworytów do złotych medali, w tym celu zakontraktowano uznanego trenera z Łotwy (Martins Zibarts miał też pomóc osiągnąć dobre wyniki w Eurolidze), zmontowano całkiem niezły skład. Tymczasem wszystko błyskawicznie się posypało, klub dosięgły ogromne kłopoty organizacyjno-finansowe.

Powtarzał się scenariusz sprzed roku, gdy Polkowice rozsypały się w trakcie sezonu. Z Gdyni także odeszła większość zawodniczek, bez pojedynczej wygranej zakończono sezon w europejskich pucharach, a w lidze z trudem udało się obronić miejsce w ligowej ósemce. – Tym, którzy porównują nas do Polkowic, pragnę zapewnić, że nie mamy tak szalonych kontraktów. U nas to tak nie wygląda. Priorytetem było dla mnie, aby ten zespół po prostu dograł sezon do końca – komentował sytuację Bogusław Witkowski, wieloletni sternik klubu.

Zaskoczeniem jest też postawa drużyny z Poznania. Enea AZS Politechnika przed sezonem pożegnała swoją wieloletnią kapitan Agnieszkę Skobel. Reprezentantka Polski zakończyła zawodniczą karierę. Tuż przed startem sezonu bardzo poważnej kontuzji doznała liderka ekipy Litwinka Laura Miškiniene, która zerwała więzadło krzyżowe. Wydawało się, że po tej stracie drużyna się nie pozbiera. Tymczasem trener Wojciech Szawarski zmontował bardzo solidny zespół, który był bardzo pozytywnym zaskoczeniem w lidze. Akademiczki sezon zasadniczy skończyły na czwartym miejscu, niespodziewanie wyprzedzając Zagłębie. – Pracowałyśmy na to bardzo ciężko. Mimo wzlotów i upadków, podjęłyśmy wyzwanie jako jedność. Jesteśmy podekscytowane play offem, choć długa przerwa między meczami wymusza na nas utrzymanie maksymalnej koncentracji – podkreśla rozgrywająca Brittany Brown.

Bardzo nietypowy sezon zanotowało Zagłębie. Sosnowiczanki miały najpierw nieudaną pierwszą rundę, zaliczyły serię porażek, kilka razy rozczarowały w meczach we własnej hali. Gdy wydawało się, że to stracony sezon, nieoczekiwanie nastąpił zwrot akcji - Zagłębie pokonało liderki z Gorzowa, stłamsiło zespół z Wrocławia, kończąc sezon zasadniczy niesamowitą serią siedmiu kolejnych wygranych. Zagraniczny tercet w składzie Sydney Taylor (najlepsza snajperka ligi), Catherine Reese (średnie na poziomie 19.5 punktu oraz 10.6 zbiórki) oraz Matea Tadić (specjalistka od podań) to chyba najlepszy zaciąg w historii klubu. Sosnowiczanki najwyraźniej nie powiedziały jeszcze ostatniego słowa.

Kibiców rozpalał też wyścig do fotela lidera. Ostatecznie jedynka przed play offem padła łupem zespołu z Gorzowa, który o dwa punkty wyprzedził AZS UMCS Lublin oraz o trzy wrocławską Ślężę. Gorzowianki w pierwszej rundzie zagrają z VBW Gdynia. – Mistrz zmierzy się z wicemistrzem. To absolutny szlagier. Spotkają się drużyny o wielkich ambicjach. Nie będzie łatwo, ale zrobimy wszystko, by awansować dalej – zapowiada trener ekipy z Gorzowa Dariusz Maciejewski.

Jedna drużyna mocno odstawała. To Isands Wichoś Jelenia Góra, który przegrał wszystkie 22 mecze, niektóre wręcz w koszmarnych rozmiarach. Klub z Sudetów skład zmontował wyłącznie z krajowych zawodniczek, większość z tych dziewczyn w ubiegłym roku zdobywała awans z pierwszej ligi. Przeskok był dla nich ogromny. – Jestem dumny z moich dziewczyn. Samo dotrzymywanie kroku doświadczonym rywalkom w wielu fragmentach meczu to dla nas duża sprawa. W przyszłym sezonie planujemy wzmocnienia zagraniczne, by wyrównać potencjał – podsumował trener Rafał Sroka.

(pp)

POD TABLICAMI

■ Kłopoty Dawida Słupińskiego. Środkowy Anwilu doznał urazu, który wyklucza go z gry w najbliższych tygodniach. "Badania wykazały uraz u Dawida Słupińskiego, który wyklucza go z najbliższych treningów oraz spotkań. Informujemy, że zawodnik zmaga się z przeciążeniem przyczepu mięśni przywodzicieli. Badania wykonano po zgłoszeniu przez zawodnika dolegliwości bólowych. Dawid pozostaje pod opieką naszego sztabu medycznego. Przerwa środkowego potrwa około trzech tygodni. W tym czasie zawodnik będzie poddawany rehabilitacji i treningom indywidualnym" - poinformował klub z Włocławka. Słupiński w tym sezonie wystąpił w 16 meczach, średnio notował 4.5 punktu oraz 2.9 zbiórki.

■ Problemy ze zdrowiem ma też Wojciech Dzierżak, rozgrywający Enea Abramczyk Astoria Bydgoszcz, lidera pierwszej ligi. 24-latek poważnej kontuzji doznał w trakcie niedawnego meczu z ŁKS-em. Wszystko wskazuje na to, że w tym sezonie na boisku już się nie pojawi. "Informujemy, że po przeprowadzeniu szczegółowych badań diagnostycznych uraz, którego Wojtek Dzierżak doznał podczas ostatniego meczu z ŁKS-em, wyklucza go z gry do końca sezonu. Badania wykazały uszkodzenie chrząstki w stawie kolanowym, a po konsultacjach ze specjalistami podjęto decyzję o konieczności przeprowadzenia operacji. Niestety, charakter urazu oraz wymagany proces rekonwalescencji oznaczają, że Wojciech Dzierżak nie pojawi się już na parkiecie w obecnym sezonie" - czytamy w komunikacie Astorii w mediach społecznościowych.

■ Reprezentacja Polski w koszykówce 3x3 nie dała szans rywalom podczas turnieju w Bangkoku. Biało-czerwoni w wielkim stylu sięgnęli po końcowy triumf, pokonali kolejno amerykański zespół Undarga Knight 21:14, Kuala Lumpur 21:7, Udon Wolves z Tajlandii 21:9, w ćwierćfinale malezyjski Flying Eagles 21:18, a w półfinale po raz drugi ekipę Knight 21:13. W finale, którego stawką był bilet na turniej challenger w Tokio, byli lepsi po raz drugi od Udon Wolves 21:17. Indywidualną klasę potwierdził Przemysław Zamojski, zgarniając statuetkę MVP oraz tytuł króla strzelców. Podopieczni Piotra Renkiela wystąpili w składzie: Przemysław Zamojski, Marcel Ponitka, Dominik Grudziński oraz Adam Waczyński.

(p)

Udany rewanż Kawalerzystów

Drużyna z Toronto nie potrafi pokonać Knicks od ponad trzech lat!

NBA

We wtorek była okazja oglądać dwa ciekawe mecze w wykonaniu czołowych drużyn Konferencji Wschodniej. Pokaz dobrej defensywy w Toronto dali Nowojorczycy. Początek należał do Raptors, którzy zaczęli bardzo odważnie, prowadząc w pierwszej kwarcie 25:15. Brandon Ingram był nie do zatrzymania, zdobywając w tej części gry aż 16 punktów. Potem inicjatywę przejęli goście, którzy do przerwy prowadzili już 10 oczkami (68:58). Po przerwie zespoły grały falami - najpierw zaatakowali Raptors i zbliżyli się w pewnym momencie czwartej kwarty na zaledwie dwa punkty. Końcówka należała jednak do gości. Knicks zakończyli mecz potężną serią 16:2, całkowicie paraliżując ofensywę Toronto i pieczętując zwycięstwo.

Jalen Brunson zanotował świetny występ z 26 punktami i 10 asystami, Karl-Anthony Towns dołożył 21 punktów i 12 zbiórek, a trener Mike Brown szczególnie chwalił go za poprawę w obronie, głośną komunikację z kolegami i kluczowy blok, który napędził jedną z kontr. Dodatkowo Josh Hart został okrzyknięty "graczem meczu w defensywie" za zatrzymanie Brandona Ingrama (lider Raptorów zdobył 26 punktów w pierwszej połowie, ale tylko 5 w drugiej).

Jeremy Sochan znów tylko w roli epizodycznej, był na boisku 60 sekund. Nie zdobył punktów, nie miał zbiórek czy asyst. To był 11. mecz z ostatnich 19, w którym Knicks utrzymali rywala poniżej 100 punktów. - Czujemy, że potrafimy zdobywać punkty. To był dobry mecz ofensywny pod względem skuteczności (56 procent z gry, 32 asysty), ale w drugiej połowie nie graliśmy dobrze w ataku. Świadomość, że możemy wtedy polegać na defensywie, jest dla nas kluczowa, bo piłka nie zawsze wpada do kosza - mówił po spotkaniu trener Brown. Knicks (z bilansem 40-22) stali się trzecią drużyną na Wschodzie, która osiągnęła barierę 40 zwycięstw (po Detroit i Bostonie).

Iskrzyło w Cleveland, gdzie przyjechali liderzy konferencji z Detroit. Cavaliers pomścili niedawną porażkę w hali rywali, sukces odnieśli mimo braku kontuzjowanego gwiazdora, Donovana Mitchella. W roli bohaterów wystąpili Jaylon Tyson (22 punkty), James Harden i Evan Mobley (po 18 punktów) oraz Dennis Schröder (15 punktów). W czwartej kwarcie Pistons zniwelowali 11-punktową stratę do zaledwie jednego punktu, jednak Sam Merrill trafił kluczowy rzut za trzy punkty, co pozwoliło Cavs utrzymać prowadzenie.

Dla Pistons Jalen Duren zdobył 24 punkty i zaliczył 14 zbiórek, a Tobias Harris dołożył 19 punktów (wszystkie w drugiej połowie). Porażka ta przerwała serię sześciu wyjazdowych zwycięstw Detroit. Cade Cunningham rozdał 14 asyst, ale zdobył tylko 10 punktów, trafiając zaledwie 4 z 16 rzutów z gry.

Cleveland – Detroit 113:109, Toronto – New York 95:111, Orlando – Washington 126:109, Charlotte - Dallas 117:90, Miami - Brooklyn 124:98, Philadelphia - San Antonio 91:131, Chicago - Oklahoma City 108:116, Minnesota - Memphis 117:110, LA Lakers - New Orleans 110:101, Sacramento – Phoenix 103:114.

(p)

Sport fae895e8fe

PLUSLIGA

■ **Indykpol AZS Olsztyn – PGE GiEK Skra Bełchatów 3:1 (25:23, 19:25, 25:21, 25:22)**
OLSZTYN: Tille (3), Karlitzek (20), Cieślik (1), Szwarc (18), Halaba (17), Seweryn (10), Ciunajtis (libero) oraz Kozub, Majchrzak (5), Janikowski, Borkowski, Hadrava (2), Trener Daniel PLIŃSKI.
BEŁCHATÓW: Łomacz , Pothron (8), Szalacha (9), Souza (19), El Graoui (13), Lemański (10), Szymura (libero) oraz Kędzierski (libero), żakieta, Nowak, Kubicki. Trener Krzysztof STELMACH.
Sędziowali: Marcin Weiner (Mysłowice) i Piotr Król (Katowice). **Widzów** 4030.
Przebieg meczu
I: 10:7, 15:14, 20:18, 25:23.
II: 7:10, 11:15, 15:20, 19:25.
III: 10:9, 15:14, 19:20, 25:21.
IV: 9:10, 15:10, 20:12, 25:22.
Bohater – Paweł HALABA.

1. Zawiercie	23	53	18/5	59:24
2. Warszawa	23	48	17/6	53:30
3. Lublin	22	44	15/7	55:35
4. Olsztyn	23	42	15/8	54:41
5. Rzeszów	22	40	14/8	49:34
6. Gdańsk	22	34	12/10	48:44
7. Jastrzębie	22	33	12/10	43:42
8. Bełchatów	21	33	11/10	40:40
9. Kędzierzyn	22	30	9/13	48:52
10. Suwałki	23	25	7/16	36:55
11. Gorzów	22	24	7/15	35:51
12. Lwów	22	23	8/14	37:54
13. Chełm	23	23	7/16	31:56
14. Częstochowa	22	16	4/18	29:59

1-8 play off, 14 spadek do I ligi
Następne mecze: **6.03.:** Kędzierzyn-Koźle – Częstochowa; **7.03.:** Suwałki – Bełchatów, Zawiercie – Gorzów Wlkp., Rzeszów – Lwów; **8.03.:** Gdańsk – Jastrzębie, Warszawa – Lublin; **9.03.:** Olsztyn – Chełm.

TAURON LIGA

■ **ŁKS Commercecon Łódź – Uni Opole 3:1 (28:30, 25:15, 25:21, 27:25)**
ŁKS: Grajber (2), Brambilla (13), Stefanik (12), Centka-Tietianiec (11), Bidias (25), Obiała (16), Pawłowska (libero) oraz Hryszczuk, Fayad, Szczyrba. Trener Adrian CHYLIŃSKI.
OPOLE: Makarowska-Kulej (3), Guereca (5), Kecher (8), Zaroślińska-Król (17), Hellvig (18), Połeć (8), Łyduch (libero) oraz McCall (10), Mulka, Paluszkiewicz, Kępa. Trener Bartłomiej DĄBROWSKI.
Sędziowali: Marcin Myszkowski i Tomasz Janik (obaj Warszawa). **Widzów** 512.
Przebieg meczu
I: 7:10, 13:15, 17:20, 24:25, 28:30.
II: 10:8, 15:9, 20:9, 25:15.
III: 10:6, 15:12, 20:16, 25:21.
IV: 8:10, 14:15, 20:18, 25:24, 27;25.
Bohaterka – Regiane BIDIAS.

1. Rzeszów	19	55	18/1	56:9
2. Budowlani	19	47	16/3	51:16
3. Opole	19	40	13/6	44:24
4. Bielsko-Biała	19	37	13/6	42:32
5. ŁKS	19	32	12/7	43:37
6. Police	19	26	9/10	36:39
7. Bydgoszcz	19	25	8/11	33:39
8. Mielec	19	23	8/11	33:43
9. Radom	19	22	7/12	34:42
10. Mogilno	19	16	5/14	27:48
11. Wrocław	19	14	4/15	20:47
12. Nowy Dwór Maz.	19	5	1/18	11:54

1-8. play off, 12. spadek

Następne mecze: 5.03.: Mielec – Mogilno; **6.03.:** Rzeszów – Bydgoszcz, Police – ŁKS; **7.03.:** PGE Budowlani – Radom; **8.03.:** Bielsko-Biała – Nowy Dwór Maz.

Szybko i łatwo

Pierwsza odsłona dla Asseco Resovii. Knack Roeselare został rozbity. Rewanż za tydzień w Belgii.


Fot. PAP/Darek Delmanowicz

Dla Karola Butryna belgijski blok nie był żadną przeszkodą.

LIGA MISTRZÓW

Mistrz Belgii to waleczna drużyna. W fazie grupowej aż pięć z sześciu meczów kończyła tie-breakiem, wygrała dwa. W Rzeszowie spodziewano się zatem trudnej przeprawy. Tymczasem wygrana gospodarzy ani przez moment nie była zagrożona.– Spodziewaliśmy się zaciętego meczu. Postawa Belgów troszeczkę nas zaskoczyła, ale cieszymy się, że spotkanie tak przebiegało. Mamy małą przewagę przed rewanżem – mówił Jakub Bucki, atakujący Asseco Resovii.

Rzeszowianie rozpoczęli spotkanie w wielkim stylu. Od pierwszej akcji zagrywką wywierali ogromną presję na rywalach. Potężnie serwowali Artur Szalpuk, Karol Butryn, Danny Demyanenko i Yacine Louati. Taktyka okazała się skuteczna. Belgowie pogubili się. A nie mając dokładnego przyjęcia, nawet taki spec od rozegrania, jak Stijn D'Hulst niewiele był w stanie zdziałać. Jego rozegrane było schematyczne. Zwykle posyłał w bój Basila Dermaux. 23-latek to wschodząca gwiazda światowej siatkówki, uchodzi za jednego z najbardziej utalentowanych atakujących na świecie. Rzeszowianie doskonale zdawali sobie jednak sprawę z jego umiejętności. Mieli go dobrze rozpisanego i ustawiali na niego blok. Dermaux się okrutnie męczył. Próbował różnych sposobów, by minąć ręce blokujących. Wiele razy mu się to udało, ale też równie często się mylił.

Od pierwszej piłki inicjatywa należała do gospodarzy. Trener przyjezdnych, Matthijs Verhanneman, po raz pierwszy poprosił o przerwę przy stanie 4:9. Uwagi nie przyniosły rezultatu. Belgom wprawdzie udało się odrobić kilka punktów, ale Rzeszowianie błyskawicznie odpowiedzieli i ich prowadzenie ani przez moment nie było zagrożone.

Drugi set był bardziej wyrównany. Gracze Knack poprawili dokładność w przyjęciu serwisu i D'Hulst mógł w końcu pozwolić sobie na bardziej urozmaicone rozegranie. Od razu znalazło to odzwierciedlenie w wyniku. Gospodarze prowadzili, ale długo gra toczyła się akcja za akcję i nie mogli odskoczyć na więcej niż dwa, trzy „oczka". Końcówka to znów popis Asseco Resovii. Butryn, Szalpuk i Louati kończyli wszystkie ataki. Mieli jednak ułatwione zadanie, bo czarną robotę wykonywał Demyanenko. „Wiązał" rywali na środku siatki, przez co skrzydłowi zwykle atakowali na pojedynczym bloku, lub nawet na „wyczyszczonej" siatce.

Miejscowi fani tylko raz, na początku trzeciej odsłony, mogli mieć wątpliwości, czy ich drużyna utrzyma wysoki poziom. Belgowie bowiem zaczęli partię od mocnego uderzenia i wygrywali 5:2. Gospodarze szybko ich zagasili. Cztery kolejne bloki na Dermaux pozbawiły ich wszelkich złudzeń. – To było dobre spotkanie w naszym wykonaniu, w każdym elemencie. Ale to dopiero pierwszy krok. Knack we własnej hali z pewnością zagra lepiej. A my lepiej na wyjazdach nie gramy. Ale będziemy walczyli – zapewnił Artur Szalpuk, przyjmujący Asseco Resovii.

Rewanż za tydzień w Belgii. Rzeszowianie do awansu potrzebują dwóch zwycięskich setów. Przy porażce 0:3 lub 1:3 ćwierćfinalistę Ligi Mistrzów wyłoni złoty set. W 1/8 finału na zwycięzcę rywalizacji czeka Ziraat Bankkart Ankara.

(mic)

■ **Asseco Resovia – Knack Roeselare 3:0 (25:16, 25:20, 25:18)**
RZESZÓW: Janusz (1), Szalpuk (16), Potera (6), Butryn (12), Louati (11), Demyanenko (8), Zatorski (libero) oraz Bucki, Shoji. Trener Massimo BOTTI.
ROESELARE: D'Hulst (1), Siksna (1), Vam Elesen (6), Dermaux (11), Espeland (9), Deroey (libero) oraz Angillis (libero), Haapaniemi, Van Hoyweghen. Trener Matthijs VERHANNEMAN.
Sędziowali: Juraj Mokry (Słowacja) i Antonella Verrascina (Włochy). **Widzów** 2300.
Przebieg meczu
I: 10:6, 15:9, 20:14, 25:16.
II: 10:5, 15:12, 20:17, 25:20.
III: 10:8, 15:12, 20:16, 25:18.
Bohater – Artur SZALPUK.

Kluczowa zagrywka

Warszawianie zostawili na parkiecie serce i mnóstwo zdrowia, ale na Itas Trentino okazało się to zbyt mało.

Goście do Warszawy przyjechali bez Alessandro Michieletto. To ogromna strata. MVP ubiegłorocznych mistrzostw świata to gracz kompletny, lider sportowy i mentalny Itasu. Od dłuższego czasu zmaga się jednak z urazem odcinka lędźwiowego kręgosłupa i nie wiadomo, czy w tym sezonie w ogóle jeszcze wystąpi.

Brak Michieletto to duże osłabienie, ale nie oznacza to, że ekipa z Włoch nie ma kim grać. Rozgrywający Riccardo Sbertoli, atakujący Theo Faure czy przyjmujący Daniele Lavia oraz Jordi Ramon Ferragut to gracze o uznanych nazwiskach i osiągnięciach. I pokazali to na parkiecie. Itas zaczął w imponującym stylu. Rozjechał PGE Projekt. W pierwszym secie siatkarze z Trydentu zaserwowali aż siedem asów. Kapitalnie grali też w bloku. Warszawianom nie pozostało nic innego, jak liczyć, że rywalom szybko wyczerpie się animusz.


Fot. PAP/Leszek Szymański

Damian Wojtaszek (z prawej) i Linus Weber w trakcie spotkania mieli sporo okazji do manifestowania radości.

I faktycznie, w drugiej partii Itas mocno spuścił z tonu. Przede wszystkim nie był już bezbłędny. Lepiej zaczęli też grać miejscowi. Przebudził się Kevin Tillie. Francuz pierwszego seta zakończył z zerowym dorobkiem punktowym. Kolejny otworzył za to czterema udanymi atakami i mocno się napędził. Błyszczał nie tylko w ofensywie, dwoił się też i troił w obronie. Wtórował mu Damian Wojtaszek. Na wyższy poziom weszli również Bartosz Bednorz oraz Linus Weber. Okazało się, że goście z Włoch wcale nie są tacy mocni, że można z nimi wygrać.

Kluczowa dla losów meczu okazała się trzecia odsłona. Warszawianie od początku gonili wynik. W końcówce pokazali wielki hart ducha. Doszli rywali. Kilkakrotnie mieli nawet szanse na uzyskanie inicjatywy i wywalczenie piłki setowej. Brakło im niewiele. Przegrali dopiero w grze na przewagi.

Porażka ich jednak nie złamała. Doprowadzili do tie-breaka, ale w nim zabrakło im już sił. Rywale znów zaczęli trafiać zagrywką, co okazało się decydujące.

W rewanżu Warszawianie, by awansować do kolejnej rundy, muszą wygrać.

(mic)

■ **PGE Projekt Warszawa – Itas Trentino 2:3 (11:25, 25:17, 25:27, 25:19, 8:15)**
WARSZAWA: Firlej (2), Bednorz (15), Kochanowski (2), Weber (22), Tillie (15), Kłos (6), Wojtaszek (libero) oraz Semeniuk (5), Gomułka, Kozłowski. Trener Kamil NALEPKA.
TRENTINO: Sbertoli (3), Ramon Ferragut (13), Flavio Gualberto (13), Faure (22), Lavia (13), Torwie (10), Laurenzano (libero) oraz Pesaresi, Garcia Fernandez (2), Acquarone. Trener Marcelo MENDEZ.
Sędziowali: Bogdan Laurentiu Stoica (Rumunia) i Seckin Yener (Turcja). **Widzów** 2864.
Przebieg meczu
I: 6:10, 8:15, 11:20, 11:25.
II: 10:4, 15:9, 20:13, 25:17.
III: 5:10, 10:15, 16:20, 24:25, 25:27.
IV: 10:5, 15:9, 20:13, 25:19.
V: 4:5, 6:10, 8:15.
Bohater – Theo FAURE.

Sport fae895e8fe

Ozłocić „Chmiela”!

W trzecim meczu z Zagłębiem Bytomianie zostawili serce na lodzie, ale przegrali w dogrywce.

TAURON HOKEJ LIGA

Play off to nie bajka - często te słowa słyszałem przed rozpoczęciem tej części sezonu. I znalazły potwierdzenie. Polonia Bytom, ósmy zespół sezonu zasadniczego, walczy z drugim ECB Zagłębiem Sosnowiec jak równy z równym. W trzecim meczu zadecydował gol w dodatkowym czasie niezawodnego Arona Chmielewskiego. Tak więc proponujemy ozłocić „Chmiela”!

Nie było sensacyjnych roszad personalnych. Trenerzy Zagłębia tym razem zdecydowali się na cztery pary obrońców i do składu doszedł Oskar Krawczyk. To był znak, że gra defensywna będzie odgrywała kluczową rolę. W ataku drobne retusze, ale nie miały one większego znaczenia. Natomiast trener Andrej Gusow zaufał swoim „żelaznym” hokeistom sprawdzonym w bojach.

Gospodarze od początku zastosowali wysoki pressing i chyba mocno rywali tym zaskoczyli. Już w pierwszych sekundach Niilo Halonen był w poważnych opałach i prowadzenie mógł zdobyć Dominik Jarosz. Przez 5 minut inicjatywa należała do Bytomian, jednak nie udało im się zaskoczyć fińskiego golkipera, a potem z wolna zespół z Sosnowca odzyskiwał właściwy rytm i zaczął konstruować składniejsze akcje. W 8 min Chmielewski sprawdził czujność Bohdana Diaczenki. W 12 min Christian Mroczkowski, a chwilę później Andrej Bujalski byli bliscy zmiany wyniku. Tercja skończyła się bez bramek, bo obie ekipy miały zakodowane, by grać nadzwyczaj ostrożnie.

Jednak jedni i drudzy musieli kiedyś podjąć ryzyko i w najmniej oczekiwanym momencie Jere-Matias Alanen po zagraniu zza bramki Sebastiana Brynkusa ładnym strzałem pokonał Diaczenkę. Strzał był precyzyjny i przeleciał koło ucha. Wydawało się, że gol jeszcze bardziej wzmocni gości i oni przejmą inicjatywę, a tymczasem podziałał mobilizująco na Bytomian. Zaczęli staranniej konstruować akcje i w 25 min Marat Saroka z lewej strony popisał się dryblingiem a la Messi z Ronaldo razem wzięci. Gdy już zwiódł dwóch rywali i bramkarza, wyłożył krążek do „pustaka” Piotrowi Bajonowi. Ten nie miał żadnych problemów ze skierowaniem go do siatki.

Od tego momentu więcej groźniejszych sytuacji przeprowadzili Polonišci. Leevi Karjalainen, dwa razy Radosław Sawicki oraz Bujalski mogli zmienić rezultat, ale nic z tego.

Do ostatniej tercji przystępowaliśmy z wynikiem 1:1 i wszystko było możliwe. Sawicki (43 min), Miro Lehtimaki (46) i Mroczkowski (49) mogli wprowadzić kibiców w stan euforii, ale tego nie uczynili. Jeden wypad Zagłębia przyniósł mu po raz drugi prowadzenie. Joni Piipponen dograł krążek do Chmielewskiego, a ten popisał się precyzyjnym uderzeniem. W 52 min doszło do zamieszania pod bramką i po gwizdku sędziowie nie mieli wątpliwości, by przeanalizować całą sytuację na wideo. Po długiej analizie Michał Baca wskazał na środek, a szczęśliwym strzelcem okazał się Paweł Padakin.

Na 4:31 min przed syreną Szymon Bieniek sfaulował Alanena i Bytomianie byli w opałach. Jednak dzielnie się spisali i osłabienie obronili! Mimo usilnych starań z jednej i drugiej strony o wygranej miała zadecydować dogrywka, a w niej obie drużyny zaczęły ostrożnie. W 61:42 min w ferworze walki Diaczenko zahaczył rywala i otrzymał karę. Goście szybko wykorzystali przewagę, zaś strzelcem gola był nie kto inny, jak Chmielewski.



37 SEKUND przewagipotrzebowali goście, by zdobyć zwycięską bramkę!

Fot. PressFocus

Aron Chmielewski, lider z prawdziwego zdarzenia, zapewnił Zagłębiu zwycięstwo.

BS Polonia Bytom - ECB Zagłębie Sosnowiec 2:3 (0:0, 1:1, 1:1, 0:1) po dogrywce
Stan rywalizacji 1-2
0:1 – Alanen – Brynkus – Sirkiä (22:01), 1:1 – Bajon – Saroka – J. Musioł (24:49), 1:2 – Chmielewski – Piipponen - Ciura (49:19), 2:2 – Padakin – Bujalski (51:23), 2:3 – Chmielewski – Naróg - Enlund (62:19, w przewadze)
Sędziowali: Michał Baca i Wojciech Czech – Michał Gerne i Kamil Wiwatowski. Widzów 1369.
POLONIA: Diaczenko (2); Załamaj – Górny, Osenieks – L. Karjalainen, Kamieniew – Bieniek (2), Proczek – D. Musioł; Sawicki – Jarosz – Lehtimaki, Padakin – Mroczkowski – Bujalski, M. Zając – Karasiński – Wybiral, J. Musioł – Bajon – Saroka. Trener Andrej GUSOW.
ZAGŁĘBIE: Halonen; Ciura – Sozański, Wanacki - Naróg, Björkung – Biłas, Krawczyk - Kotlorz; Elund – Hamalainen – Jokinen, Piipponen (2) - Roine – Chmielewski, Brynkus – Alanen – Sirkiä, Gromadzki – Nauhnko – Sołtys. Trener Matias LEHTONEN.
Kary: Polonia – 4 min, Zagłębie – 2 min.
Kolejny mecze dziś też w Bytomiu, początek o 18.00.

WYCIĄGNĘLI WNIOSKI

Po kiepskim niedzielnym spotkaniu, Tyszanie wrócili do formy z pierwszego meczu ćwierćfinałowego i częściej stwarzali zagrożenie pod bramką. W tej rywalizacji przewagi są kluczem i nie inaczej było w Karwinie. W 7 min Filip Komorski wykorzystał zamieszanie podbramkowe gdy na ławce kar odpoczywał Jakub Onak i otworzył wynik. Na 30 sekund przed przerwą Olli Kaskinen mocnym uderzeniem z pełnego zamachu podwyższył prowadzenie.
W drugiej tercji Jastrzębianie grali nieco odważniej i częściej zagrażali bramkarzowi rywali. To jednak nie przełożyło się na gola kontaktowego. Niewykorzystane sytuacje się zemściły. W połowie meczu Joel Kerkkanen wymanewrował golkipera gospodarzy i bez trudu podwyższył prowadzenie.
Końcówka tercji należała już niemal całkowicie do JKH. Impas strzelecki na 119 sekund przed drugą przerwą przełamał Matias Lehtonen, wykorzystując kiepskie ustawienie Vitolsa.
W trzeciej tercji mecz był już bardzo zacięty. Można nawet powiedzieć że większe zagrożenie stwarzali hokeiści z Jastrzębia-Zdroju. Mistrzowie Polski bronili się jednak nader dobrze. Na nieco ponad 4 minuty przed końcem przyjezdni byli w opałach. Na ławkę kar odesłany został Kerkkanen, a chwilę później trener Bernacki poprosił o czas i wycofał bramkarza. Tyszanie skutecznie jednak rozbijali ataki rywali, a ponadto dobrze w bramce prezentował się Vitols. Krótko przed zakończeniem meczu zawodnicy obu drużyn pozwolili sobie na upust emocji i posypały się kary.

JKH GKS Jastrzębie - GKS Tychy 1:3 (0:2, 1:1, 0:0)
Stan rywalizacji 1-2
0:1 - Komorski - Łyszczarczyk - Paś (6:19, w przewadze), 0:2 – Kaskinen - Łyszczarczyk - Knuutinen (19:30), 0:3 - Kerkkanen - Viinikainen - Bryk (30:30), 1:3 - Lehtonen - Sihvonen - Bagin (38:01, w przewadze)
Sędziowali: Patryk Kasprzyk i Przemysław Gabryszak - Piotr Kot i Eryk Sztwiertnia. Widzów 1000.
JKH: Kaarlehto; Bagin - Alho (2), Onak (2) - Bezuška (2), Hanzel - Charvát (2), Adamek - Wojciechowski; Lehtonen - B rzi š - Sihvonen, Ślusarczyk - Kiełbicki - Urbanowicz, R. Nalewajka - Stolarski (2) - Ł. Nalewajka (6), Kuzak - Moś - Laszkiewicz. Trener Rafał BERNACKI.
GKS: Vitols (2); Pociecha (2) - Kovář (2), Kakkonen - Kaskinen, Bryk - Viinikainen, Sobecki; Heljanko - Kuru (2) - Kerkkanen (2), Knuuttinen - Paś - Łyszczarczyk, Jamsen - Komorski - Viitanen (4), Jeziorski - Aliranta (2) - Gościński. Trener Pekka TIRKKONEN.
Kary: JKH - 16 min, GKS - 18 min (2 techn.).
Kolejny mecz dzisiaj też w Karwinie, początek o 18.30.

FAWORYT – POJĘCIE WZGLĘDNE

Zwycięzca rundy zasadniczej obecnego sezonu, GK S Katowice, wybierał sobie ćwierćfinałowego rywala jako pierwszy i postawił na Cracovię. Po 11:1 dla GieKSy w pierwszym meczu wybór wydawał się trafny, ale teraz w serii do czterech zwycięstw jest 2-1 dla Pasów! Po przegranym w karnych drugim meczu w Satelicie, wczoraj Katowiczanie rozpoczęli z animuszem, ale Krakowianie nabrali pewności siebie i stłamsić się nie dali. W wyrównanej pierwszej tercji najbliżej gola był Jean Dupuy, który trafił w słupek. W 26 min gola z bliska zdobył Patryk Wronka, ale sędziowie na obrazie wideo zobaczyli, że wbił krążek łyżwą. Niedługo potem Travis Verveda huknął niemal z niebieskiej pod poprzeczkę i tu już wątpliwości nie było. Prowadzenie gości nie przeszło nawet na 3. tercję, bo w 40 min po kontrze wyrównał Henry Karjalainen. Trzecia odsłona nie przyniosła rozstrzygnięcia, choć optyczną przewagę mieli goście, którzy dogrywkę rozpoczęli w osłabieniu, po karze dla Zacka Hoffmana. W takiej sytuacji w dodatkowym czasie nie gra się trzech na dwóch, tylko wprowadza się czwartego gracza. W planowanej na 20 minut dogrywce Cracovia potrzebowała trochę ponad minutę, by Eetu Mäki rozstrzygnął mecz! Katowiccy wicemistrzowie Polski stoją pod ścianą...

Comarch Cracovia - GKS Katowice 2:1 (0:0, 1:1, 0:0, 1:0) po dogrywce
Stan rywalizacji 2-1
0:1 - Verveda - Bepierszcz (31:58), 1:1 – H. Karjalainen – D. Kapica (39:38), 2:1 - Mäki – H. Karjalainen (61:16, w przewadze)
Sędziowali: Andrzej Nenko i Paweł Breske - Michał Żak i Michał Kret. Widzów 1300.
CRACOVIA: Lipiainen, Klimowski; Szkrabow – Jaśkiewicz (2), Jaracz – Wajda, Kruczek – Noworyta, Mętel - J. Michalski (2); D. Kapica – Montgomery – H. Karjalainen, Mäki – Valtola – Tiala, Mocarski - Bezwiński (2) – Toussaint, Gumiński – F. Kapica – Dziurdzia. Trener Krystian DZIUBIŃSKI.
GKS: Eliasson; Lundegard – Runesson (2), Verveda – Vartinen, Hoffman (4) – Chodor, Maciaś; Bepierszcz (2) – Pasiut – Fraszko (2), Wronka – Anderson – Dupuy, Jakub Hofman – McNulty – Coatta, Jonasz Hofman – M. Michalski – Koivusaari, Dawid. Trener Jacek PŁACHTA.
Kary: Cracovia – 6 min, GKS – 10 min.

Kolejny mecz dziś też w Krakowie, początek o 18.00.

TORUŃ NIEGOŚCINNY

Podczas wyboru rywala na 1/4 finału nikt nie chciał Energi, bo to zespół nieobliczalny, a do Torunia jest... najdalej. Oświęcimianie tych rywali otrzymali w spadku, bo pierwsza trójka po sezonie zasadniczym wybrała innych, więc Uniści nie muszą pluć sobie w brody z powodu nietrafionego przeciwnika, ale zapewne sobie plują, bo w serii przegrywają 1-2, choć w środę rozpoczęli doskonale - od prowadzenia już w 39 sekundzie! Bardzo chcieli podwyższyć wynik, ale golkiper gospodarzy Anton Svensson bronił doskonale. Jego vis-a-vis Linus Lundin nie był gorszy, ale w połowie meczu, gdy Martin Kasperlik odsiadywał 2 minuty za... symulowanie, został pokonany przez Jakuba Lewandowskiego, który zmienił lot krążka po strzale Viliego Laitinena. W połowie trzeciej tercji J. Lewandowski obsłużył Michała Kalinowskiego i było 2:1. W końcówce trener Robert Kalaber oczywiście wycofał bramkarza, ale Ville Heikkinen złapał karę i było po zawodach...

Energa Toruń - Unia Oświęcim 2:1 (0:1, 1:0, 1:0)
Stan rywalizacji 2-1
0:1 - Partanen - Heikkinen - Florczak (0:39), 1:1 – J. Lewandowski - Laitinen (30:35, w przewadze), 2:1 – M. Kalinowski – J. Lewandowski (47:53).
Sędziowali: Paweł Kosidło i Krzysztof Kozłowski - Kacper Król i Łukasz Sośnierz. Widzów 2500.
ENERGA: Svensson; Laitinen (2) - Ilvessuo, Zieliński – Gimiński, Schafer - A. Jaworski (2), Maćkowski - Kurnicki; Denyskin - Syty - Baszyrow (2), Worona - Arrak - Korenczuk, Cybulski - Fjodorows - J. Lewandowski, M. Kalinowski- K. Kalinowski – Phelps. Trener Sami HIRVONEN.
UNIA: Lundin; Kubeš - Söderberg, Scarlet (2) - Florczak, Morrow – Mäkelä (), Mościcki - Prokopiak; Peresunko - Olsson Trkulja - Petraš (4), Ahopelto - Heikkinen (2) - Partanen (2), D. Tyczyński - Rac - Kasperlik (2), Kusak - Galant - Krzemień. Trener Robert KALABER.
Kary: Energa – 6 min, Unia - 12 min.

Kolejny mecze dziś też w Toruniu, początek o 18.00.

Sport fae895e8fe

NHL

RÓWNY KROK

■ Prowadzący w Konferencji Zachodniej i tabeli ogólnej tercet Colorado – Dallas – Minnesota zalicza kolejne zwycięstwa. Zadziwiają zwłaszcza Gwiazdy z Dallas, które wygrywając na wyjeździe z Calgary Flames 6:1 (2:1, 4:0, 0:0), odniosły 10. zwycięstwo z rzędu, ustanawiając nowy rekord klubowy. Ryan Huska, trener Flames, narzekał, że drużyna grała wolno i nie była w stanie podjąć walki z dobrze usposobionym rywalem. Dustin Wolf wpuścił cztery gole z 17 strzałów i w 27 min został zmieniony przez Devina Cooleya, który obronił 16 uderzeń, ale dwa krążki znalazły się w jego siatce. Casey DeSmith, ich vis-a-vis, miał 20 udanych interwencji, a jego koledzy byli dobrze usposobieni w ofensywie. Sam Steel zdobył dwa gole (9 i 27 min) oraz podawał do Jamie'ego Benna (12). Formacja Steel – Benn – Matt Duchene idealnie współpracowała. Ten ostatni zaliczył cztery asysty. Druga odsłona zadecydowała o pewnym zwycięstwie Gwiazd. Oprócz wspomnianego Steela do bramki gospodarzy trafiali jeszcze Marvik Boureque (23), Nathan Bastian (29) i Wyatt Johnston (40, w przewadze). Gwiazdy wystąpiły bez Roope Hintza, który jest kontuzjowany.
Zespół z Denver również ma prawo do zadowolenia, bowiem wygrał trzy mecze z rzędu oraz pięć z ostatnich sześciu. Mimo że o punkty w Anaheim w tym sezonie trudno, Lawina uporała się z Kaczorami 5:1 (2:0, 1:1, 2:0). Jared Bednar, trener zwycięzców, był zadowolony, że po przerwie olimpijskiej drużyna tak dobrze się prezentuje. Cole Makar zdobył inauguracyjnego gola (12), a potem asystował przy drugim, strzelonym przez Martina Necasa (15, w przewadze) oraz przy pierwszym trafieniu Parkera Kelly'ego (36). Ten ostatni trafił po raz drugi (51), ponadto Lukasa Dostała pokonał Gabriel Landeskog (45), po asyście Nathana MacKinnona, który zaliczył 100. punkt w klasyfikacji kanadyjskiej.
Z kolei Minnesota Wild uporała się na własnej tafli z liderem Konferencji Wschodniej, Tampą Bay Lightning, również 5:1 (1:0, 2:1, 2:0). Wynik ustalił Kirill Kaprizow (57), posyłając krążek do pustej bramki. Z 220 golami został klubowym liderem strzelców wszech czasów, wyprzedzając o jedno trafienie Mariana Gaborika.

Anaheim – Colorado 1:5, Calgary – Dallas 1:6, Minnesota – Tampa Bay 5:1, Boston – Pittsburgh 2:1, Buffalo – Vegas 3:2, New Jersey – Florida 5:1, Washington – Utah 2:3, Columbus – Nashville 2:3, Winnipeg – Chicago 3:2 i Edmonton – Ottawa 5:4 oba po dogrywkach, San Jose – Montreal 7:5

(ws)

Bohater ma obowiązki

Trzykrotny medalista olimpijski z Predazzo Kacper Tomasiak powalczy w czwartek o mistrzostwo świata juniorów w Lillehammer.

W czwartek 19-letni skoczek narciarski, bohater Biało-czerwonych na niedawnych igrzyskach olimpijskich w Mediolanie i Cortinie d'Ampezzo, wystąpi w konkursie indywidualnym, a w sobotę w drużynowym. Złote medale mistrzostw świata juniorów - rozgrywanych co rok od 1977 - zdobyli w przeszłości nieżyjący już Mateusz Rutkowski w 2004 roku i Jakub Wolny 10 lat później. Łącznie polscy skoczkowie zdobyli 14 medali zawodów tej rangi, w tym trzy złote.

Rzadko zdarza się, żeby zawodnik uczestniczący w MŚJ był już multimedalistą olimpijskim, tak jak Tomasiak, który w lutym w Predazzo wywalczył dwa srebra i brąz, co stanowiło 75 procent dorobku medalowego całej reprezentacji Polski.

Tomasiak ma już w dorobku juniorski medal czempionatu globu - w drużynie z 2023 roku. W kanadyjskim Whistler jako 16-latek zdobył srebro razem z Marcinem Wróblem, Klemensem Joniakiem i Janem Habdasem; ten ostatni był trzeci w konkursie indywidualnym.

Podczas ubiegłorocznych MŚJ w amerykańskim Lake Placid Stephan Embacher obronił mistrzowski tytuł, triumfując indywidualnie i drużynowo. W Lillehammer 20-letni Austriak trzeci raz z rzędu może sięgnąć po tytuł indywidualnego mistrza świata juniorów. Łącznie ma w dorobku sześć złotych medali imprezy tej rangi.

Embacher zajmuje obecnie siódme miejsce w klasyfikacji generalnej Pucharu Świata, w której Tomasiak jest na 17. pozycji. Austriak wraz z Janem Hoerlem zdobył złoty medal olimpijski w duetach i w Norwegii będzie głównym rywalem Polaka. Spośród zawodników rywalizujących w PŚ, wystąpią też m.in. Szwajcar Felix Trunz, Kazach Ilja Mizernych, Słowak Hektor Kapustnik i Amerykanin Jason Colby - ubiegłoroczny wicemistrz świata juniorów z Lake Placid.

Czwartkowy konkurs indywidualny na normalnej skoczni rozpocznie się o godzinie 16.30. Niewykluczone, że zaraz po konkursie prosto z Lillehammer Tomasiak poleci do Lahti, by już w weekend wziąć udział w kolejnych zawodach Pucharu Świata z kadrą Macieja Maciusiaka…

(t, PAP)



Fot. PAP/Jarek Praszkiewicz

Czy trzykrotny medalista olimpijski jest w stanie utrzymać sportową koncentrację po tym, co spotyka go w kraju - to zdjęcie z ostatniej niedzieli z Bielska-Białej…

POLKI FATALNIE

■ Pierwsze o medale na skoczni normalnej Lysgaardsbakken (HS98) rywalizowały 52 zawodniczki z 19 krajów. Wygrała Anezka Indrackova, po skokach na odległość 95 m i 98 m. Jest pierwszą Czeszką w historii, która została mistrzynią świata juniorek. Srebro zdobyła broniąca tytułu sprzed roku Norweżka Ingvild Synnoeve Midtskogen (94 i 93,5 m), przegrywając o 2,3 pkt. Trzecie miejsce zajęła Finka Sofia Mattila (99 i 97 m), która po pierwszej serii była ósma. Polki wypadły fatalnie i nie weszły do drugiej serii. Pola Bełtowska skoczyła 81 m i była 39., a Ewa Frączek po skoku na zaledwie 54,5 m zajęła przedostatnie 49. miejsce, bo dwie skoczkinie zostały zdyskwalifikowane.

Czy forma nie poszła w piach

Mistrzostwa świata w wielobojach zakończą międzynarodowy sezon panczenistów. Polacy są wśród faworytów.

ŁYŻWIARSTWO SZYBKIE

Blisko dwa tygodnie temu panczeniści zakończyli zmagania w ramach igrzysk w Mediolanie. W stolicy Lombardii polscy reprezentanci po dwunastu latach przerwy znów wywalczyli olimpijskie podium. Srebro w biegu na 10 000 m zdobył Władimir Semirunnij, aktualny wicemistrz świata na tym dystansie, a wysokie miejsca w konkurencjach sprinterskich zajmowali Damian Żurek czy Kaja Ziomek-Nogal.

Polacy są wśród kandydatów do medali w mistrzostwach świata w wielobojach, które w czwartek rozpoczną się w holenderskim Heerenveen. Zdobędą je ci, którzy wykażą się wszechstronnością i powtarzalnością. Spore nadzieje na sukces w Holandii wiążemy z „pechowcem" Żurkiem - na igrzyskach dwukrotnie czwartym - który przez cały sezon imponował regularnością, zajmując najwyższe lokaty na 500 i 1000 m.

- Mediolan jest już za nami, wyznaczyłem sobie kolejny cel, mistrzostwa świata, mam nadzieję, że forma jeszcze w piach nie poszła, lubię tu startować i mam nadzieję, że odbiję sobie troszeczkę igrzyska - powiedział Żurek na antenie Polsatu Sport.

W wieloboju sprinterskim, który wypełni czwartkowy i piątkowy program MŚ, liczą się czasy dwóch przejazdów na każdym z tych dystansów. Poza Żurkiem wystartują w nim także Marek Kania, Ziomek-Nogal, Martyna Baran i Karolina Bosiek. Niewykluczone, że ostatecznie wystąpi też Piotr Michalski, pierwszy na liście rezerwowej.

– Liczymy na udane zamknięcie sezonu, który generalnie był dobry dla naszej reprezentacji. Mamy nadzieję, że zawodnicy mimo zmęczenia zdołają jeszcze poczuć radość ze ścigania. Wiadomo, że szczyt formy jest już lekko za nami, ale myślę, że ci najlepsi mieli podobne przygotowania po igrzyskach i wszyscy wystartują z podobnego miejsca – przyznał Konrad Niedźwiedzki, dyrektor sportowy PZŁS.

Od soboty do gry o medale MŚ wkroczą specjaliści od średnich i długich dystansów, którzy zmierzą się w „dużym" wieloboju, obejmującym rywalizację na 500, 1500, 3000 i 5000 m wśród kobiet i 500, 1500, 5000 i 10 000 m u mężczyzn. W gronie uczestników tej imprezy znajdzie się dwoje Polaków – Semirunnij oraz Zofia Braun, która jeszcze w zeszłym weekend brała udział w MŚ juniorów w Inzell.

Semirunnij będzie jednym z najpoważniejszych kandydatów do podium, tym bardziej że znakomicie radzi sobie na najdłuższych dystansach, a i na 1500 m notuje coraz lepsze wyniki. W tej konkurencji na igrzyskach w Mediolanie zajął nadspodziewane dobre, dziesiąte miejsce. 22-latek świetnie czuje się na lodzie w Heerenveen, co udowodnił w grudniowym Pucharze Świata, notując trzeci w historii łyżwiarstwa szybkiego wynik na 10 000 m i ustanawiając nowy rekord toru Thialf.

- Przejazdy w Holandii zawsze są czymś ekscytującym dla zawodników, każdy z nich czeka, aby móc wystartować przy pełnych trybunach. Ta publiczność naprawdę może ponieść zawodników i zmotywować do szybkich biegów. Tor należy do najszybszych w Europie, co tylko gwarantuje niesamowite emocje – podkreślił Niedźwiedzki.

Francuscy organizatorzy igrzysk 2030 rozpatrują kandydaturę toru w Heerenveen jako możliwą arenę do rywalizacji olimpijskiej.

(t, PAP)

POLECAMY IMPREZY SPORTOWE W TV

CZWARTEK, 5 MARCA

TVP 1
20.10 Magazyn sportowy

TVP 3
16.20, 19.00, 21.51 Przegląd wydarzeń regionalnych

POLSAT
19.30 Magazyn sportowy

TVN
19.35 Wiadomości sportowe

TVP SPORT
13.25 Pn: STS Puchar Polski, Avia Świdnik – Raków Częstochowa (na żywo); 17.00 Biathlon: PŚ w Kontiolahti, bieg indywidualny kobiet (na żywo)

EUROSPORT 2
20.00 Golf: Arnold Palmer Invitational (na żywo)

POLSAT SPORT 1
18.00 Piłka ręczna: EHF Euro Cup 2026 kobiet, Polska – Norwegia (na żywo) 20.30 Tenis: Turniej ATP w Indian Wells (na żywo)

POLSAT SPORT 2
18.55 Łyżwiarstwo szybkie: MŚ w wieloboju w Heerenveen (na żywo)

POLSAT SPORT 3
17.30 Siatkówka: Tauron Liga, ITA Tools Stal Mielec – Sokół & Hagric Mogilno (na żywo); 20.10 Koszykówka: Orlen Basket Liga, Orlen Zastal Zielona Góra – King Szczecin (na żywo)

POLSAT SPORT EXTRA 2
19.45 Siatkówka: Liga Mistrzów, Guaguas Las Palmas – Montpellier HSC VB (na żywo)

POLSAT SPORT EXTRA 4
18.55 Koszykówka: Orlen Basket Liga, Śląsk Wrocław – MKS Dąbrowa Górnicza (na żywo)

POLSAT SPORT FIGHT
20.00 Siatkówka: PLS 1. Liga, Necko Augustów – BKS Bydgoszcz (na żywo)

POLSAT SPORT PREMIUM 1
20.00 Tenis: Turniej ATP w Indian Wells (na żywo)

POLSAT SPORT PREMIUM 2
20.00 Tenis: Turniej ATP w Indian Wells (na żywo)

CANAL+ EXTRA 1
20.55 Pn: Liga angielska, Tottenham Hotspur – Cristal Palace (na żywo)

CANAL+ SPORT 2
20.00 Tenis: Turniej WTA w Indian Wells (na żywo)

CANAL+ SPORT 3
20.25 Pn: PKO BP Ekstraklasa, Radomiak – Arka Gdynia (na żywo)

ELEVAN SPORTS 1
22.45, 3.55 Formuła 3: GP Australii (na żywo); 23.55, 4.50 Formuła 2: GP Australii (na żywo); 2.25, 5.55 Formuła 1: GP Australii (na żywo)

Sport
Adres: 40-007 Katowice, ul. Uniwersytecka 13

Redaktor naczelny Andrzej GRYGIERCZYK
Redaktor wydania Tomasz MUCHA
e-mail: redakcja@dzienniksport.com.pl
Tel. 322587207
Wydawca
Edicom sp. z o.o.
ul. Hagera 41
41-800 Zabrze
Prezes Ryszard Halemba
Druk: Drukarnia Sosnowiec Polska Press Spółka z o.o., ul. Baczyńskiego 25a; 41-203 Sosnowiec

Sport fae895e8fe

Iga nie zgadza się z Aryną

Iga Świątek z Casperem Ruudem odpadli w półfinale pokazowego turnieju mikstów przed Indian Wells. Polce bardzo nie podoba się pomysł rozgrywania kobiecych meczów do trzech wygranych setów.

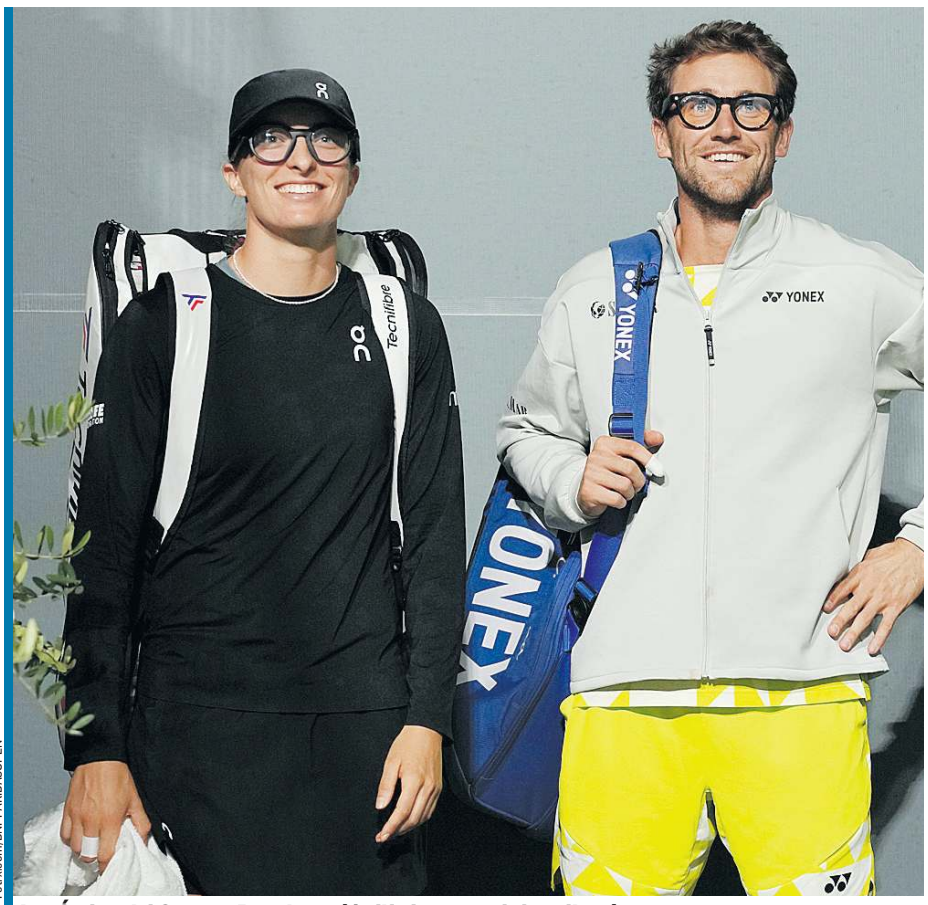
Iga Świątek i Norweg Casper Ruud przegrali z Jeleną Rybakiną z Kazachstanu i Amerykaninem Taylorem Fritzem 3-10 i na półfinale zakończyli udział w pokazowej imprezie mikstów Eisenhower Cup w kalifornijskim Indian Wells, poprzedzającej turnieje WTA i ATP 1000.

Do rywalizacji przystąpiło osiem duetów, które utworzyły cztery pary ćwierćfinałowe. Do Kalifornii nie dotarli Rosjanie Daniił Miedwiediew i Andriej Rublow, którzy nie zdążyli opuścić Dubaju - gdzie rozgrywany był turniej ATP 500 - przed eskalacją konfliktu na Bliskim Wschodzie. Zastąpili ich Laerner Tien i Kazach Andriej Bublik, zwłaszcza Amerykanin z powodzeniem.

Aplauz dla „okularników"

Rywalizacja toczyła się systemem pucharowym, a mecze trwały - zgodnie z formułą Tie Break Tens - do 10 wygranych punktów. Rozgrywkom towarzyszyła luźna atmosfera, zarówno na trybunach, jak i na korcie. Zawodnicy uśmiechali się, żartowali, próbowali niekonwencjonalnych zagrań.

Para polsko-norweska pojawiła się na korcie w okularach z masywnymi oprawkami, co wywołało aplauz ośmiotysięcznej publiczności. Jej pierwszymi rywalami byli tenisiści z Kanady - Leylah Fernandez i Felix Auger-Aliassime. Po wyrównanym pojedynku Świątek i Ruud zwyciężyli 10-6. Półfinałowy mecz z Rybakiną i Fritzem nie ułożył się już jednak po ich myśli.



Fot. x.com/BNPPARIBASOPEN

Iga Świątek i Casper Ruud wyróżnili się w turnieju mikstów...

Obronili tytuł

Co prawda pierwszy punkt dał Polce i Norwegowi podwójny błąd serwisowy Amerykanina, ale później już się nie mylił, a w ważnych momentach skutecznie włączała się też triumfatorka tegorocznego Australian Open i rywale szybko zbudowali wyraźną przewagę. Skończyło się 10-3.

- Oni uderzali bardzo, bardzo mocno, to proste - odparła Świątek, pytana o przebieg spotkania, ale zaraz z uśmiechem dodała, że we wtorek liczyła się przede wszystkim dobra zabawa i wyraziła nadzieję, że jeszcze kiedyś będzie jej dane zagrać w finale tych zmagań. Trzy lata temu doświadczyła tego w parze z Hubertem Hurkaczem.

W decydującym o triumfie meczu Rybakina i Fritz pokonali Amandę Anisimovą i Tiena 10-7, powtarzając sukces sprzed roku, kiedy również okazali się najlepsi w Eisenhower Cup. Na zwycięzców czekał czek w wysokości 200 tys. dolarów, ale cała nagroda zasili konta lokalnych organizacji charytatywnych.

Nasi ławą w czwartek

Początek rywalizacji w turniejach głównych WTA i ATP w środę, ale czwórka Polaków w 1. rundzie rozpocznie rywalizację w czwartek: Magdalena Fręch (36. WTA) zagra z kwalifikantką z Australii Storm Hunter (234.), Magda Linette (49.) - z Amerykanką Ashlyn Krueger (82.), Kamil Majchrzak (57. ATP) zmierzy się z potężnie serwującym Francuzem Giovannim Mpetshim Perricardem (54.), a Hubert Hurkacz (71.) zacznie od spotkania z sąsiadem z rankingu, Amerykaninem Aleksandarem Kovacevicem (72.).

Jedynie Świątek - jako rozstawiona (nr 2.) - jest już w 2. rundzie i czeka na rywalkę: będzie nią lepsza w meczu 93. w rankingu Brytyjki Franceski Jones z kwalifikantką z USA, Kaylą Day (187.).

Co to za pomysły?!

Podczas konferencji prasowych doszło do „zaocznej" ostrej różnicy zdań między Polką a liderką rankingu Aryną Sabalenką. Organizatorzy przepytali czołowe tenisistki, czy chciałyby w wielkoszlemowych turniejach rozgrywać mecze - podobnie jak w wypadku mężczyzn - do trzech wygranych setów.

Białorusinka się do pomysłu zapaliła: Tak, zróbmy to. Czuję, że prawdopodobnie miałabym na koncie więcej tytułów wielkoszlemowych. Fizycznie jestem naprawdę silna i jestem całkowicie pewna, że moje ciało dałoby sobie z tym radę. Więc zróbmy to! - rzuciła Sabalenka, która w Wielkim Szlemie triumfowała tylko cztery razy.

Świątek stanowczo zaoponowała: - Szczerze mówiąc to dziwne podejście w świecie, w którym wszystko staje się coraz szybsze. Nie wiem, czy publiczności faktycznie by się to spodobało. Poza tym, nie wiem, czy byłybyśmy w stanie utrzymać jakość gry przez pięć setów. To fakt, że mężczyźni są silniejsi fizycznie i na pewno lepiej sobie z tym radzą. Dodatkowo nigdy nie trenowałyśmy pod taki format, więc musiałybyśmy chyba zmienić cały nasz kalendarz. Wielkie Szlemy byłyby tak wyczerpujące, że szczerze mówiąc, nie sądzę, byśmy miały czas na przygotowanie się do jakichkolwiek innych turniejów. Myślę, że to zmieniłoby bardzo wiele, ale nie sądzę, by wyszło to na dobre. Szczerze nie wiem, jaki w ogóle jest powód takich pomysłów... - bez ogródek skrytykowała Polka, sześciokrotna mistrzyni wielkoszlemowa.

(ToM)

Wielki dramat Huberta Trościanki

Rekordzista świata juniorów w dziesięcioboju i Wschodząca Gwiazda europejskiej lekkoatletyki 2025 musiał poddać się operacji ścięgna Achillesa.

LEKKA ATLETYKA

Hubert Trościanka przeżywa osobisty dramat, bo jego znakomicie rozwijająca się kariera w jednej chwili musiała się zatrzymać. Jeden z największych talentów polskiej królowej sportu ostatnich lat, wielka nadzieja olimpijska do Los Angeles 2028, w sobotę w Toruniu podczas halowych mistrzostw Polski doznał bardzo poważnej kontuzji ścięgna Achillesa.

Rekordzista świata, wicemistrz globu (2024) i mistrz Europy (2025) do lat 20 w dziesięcioboju w Kujawsko-Pomorskiej Arenie Toruń celował w jak najlepszy wynik i „dziką kartę" do Halowych Mistrzostwach Świata, które w dniach 20-22 marca odbędą się właśnie w Grodzie Kopernika.

Tymczasem plany szybko spaliły na panewce w dramatycznych okolicznościach. 19-latek musiał wycofać się z rywalizacji już po pierwszej konkurencji, biegu na 60 metrów. Podczas treningu przed kolejną - skokiem w dal - doznał kontuzji. Naoczni świadkowie donoszą, że sytuacja wyglądała bardzo poważnie.

Zawodnikowi rodem ze Szprotawy szybko udzielono pomocy medycznej, jednak Trościanka, ze łzami w oczach, opuścił halę na wózku. Jeszcze w sobotę Polski Związek Lekkiej Atletyki ogłosił, że Trościanka doznał urazu ścięgna Achillesa. W środę lekkoatleta AZS AWF Warszawa przeszedł operację.

Jeszcze przed zabiegiem serwis sportowefakty.pl rozmawiał z trenerem Markiem Rzepką. - To dla Huberta cios. Walczył o awans na mistrzostwa świata, a jego dyspozycja była naprawdę wysoka, forma rosła. Przecież na 60 metrów pobił rekord życiowy (6,92 s), wysoko skakał też o tyczce - przypomniał szkoleniowiec.

Były trener halowej wicemistrzyni świata w pięcioboju Adrianny Sułek-Schubert przyznał także, że przed startem w Toruniu jego podopieczny mówił o bólu w nogach, dlatego zdecydowano się na konsultację z lekarzem. - Ona jednak nie wykazała nic poważnego, a Hubert jest niezwykle ambitną osobą, więc postanowił zaryzykować. Sportowcy często przed startem odczuwają napięcie, nic nie wskazywało, że może stać się coś złego. Namawiałem go, by w przypadku bólu wycofał się z rywalizacji po biegu na 60 metrów, ale Hubert postanowił spróbować i nie można mu się dziwić, bardzo mu zależało na występie w HMŚ przed polską publicznością - dodał Rzepka.


Fot. Michał Laudy/PressFocus

Dramatyczne chwile z Torunia mogą na dłużej zatrzymać rozwój wielce utalentowanego wieloboisty...

Tak poważna kontuzja i operacja raczej wykluczają powrót Trościanki do rywalizacji w 2026 roku. Utalentowanego lekkoatletę czekają długa i żmudna rehabilitacja, z odległym planem starań o olimpijską kwalifikację w 2027 roku... Życzyć wypada mu jedynie szybkiego powrotu do zdrowia!

(t)

Sport fae895e8fe